



DYSKUSJA REDAKCYJNA

Stolica Apostolska w stosunkach międzynarodowych

Autoryzowana transkrypcja dyskusji redakcyjnej
„Polski Przegląd Dyplomatyczny”
20 stycznia 2004 roku

W dyskusji uczestniczą: dr **Sławomir Dębski** (kierownik Biura Analiz PISM), **Dominik Morawski** (publicysta), ks. abp prof. dr hab. **Henryk Józef Muszyński** (metropolita gnieźnieński), dr hab. **Wojciech Rojek** (prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego), prof. dr hab. **Adam Daniel Rotfeld** (sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych), dr hab. **Ryszard Stemplowski** (redaktor naczelny „Polskiego Przeglądu Dyplomatycznego”, dyrektor PISM, prof. Szkoły Głównej Handlowej), ks. prof. dr hab. **Zygmunt Zieliński** (Katolicki Uniwersytet Lubelski).

R. Stemplowski: Mieliśmy niedawno dyskusje redakcyjne o placówce dyplomatycznej i dziejach dyplomacji polskiej, dzisiaj podejmujemy problematykę Stolicy Apostolskiej w stosunkach międzynarodowych. Chciałbym zacząć od wysunięcia trzech zagadnień: Jakie problemy metodologiczne występują przy rozpatrywaniu takiego tematu? Co charakteryzuje Stolicę Apostolską w stosunkach międzynarodowych?

Jakie stanowisko zajmuje Stolica Apostolska wobec spraw publicznie kontrowersyjnych albo niejasnych?

Zacznijmy od metodologii i najbardziej rozpowszechnionej, a w Polsce prawie że dominującej realistycznej teorii stosunków międzynarodowych. Tak zwani realiści twierdzą, że aczkolwiek człowiek jest moralny, to jednostki wchodzą ze sobą w kontakt jako członkowie grup społecznych, a społeczeństwa są amoralne. Ale nawet w tej pesymistycznej antropologii dychotomia „moralne-niemoralne” nie jest absolutna, gdyż moralna jednostka jest grzesznikiem i ostatecznie to natura człowieka jest praźródłem wszelkiego zła, natomiast państwo – dla realistów jedyny albo podstawowy podmiot stosunków międzynarodowych – dąży do jak największej potęgi, *power*, pojmowanej jako iloczyn logiczny siły materialnej i psychicznej: w czasie wojny decyduje siła zbrojna, lecz w czasie pokoju – prestiż państwa, czyli wymiar moralny. Państwa tworzą zbiorowość bez danej hierarchii, anarchiczną, i stosunki międzypaństwowe są z definicji konfliktowe, gdyż państwo jest jak człowiek na etapie rodzącego się społeczeństwa, czyli społeczeństwa przedpaństwowego. Państwo buduje swą pozycję kosztem innych państw, przeciwdziałając podobnym działaniom tych państw. Stąd znaczenie pojęcia „równowagi sił”. Państwa uczestniczą przecież w grze o sumie zerowej – ktoś zyskuje tyle, ile traci ktoś inny. Dla zrozumienia tych stosunków – mówią – trzeba znać interes narodowy danego państwa. Nie jest jednak potrzebne badanie ustroju państwa, tym bardziej procesu kształtowania polityki zagranicznej, gdyż państwo jest dla realistów monolitem i na stosunki międzypaństwowe patrzą oni jak na oddziaływanie na siebie kul bilardowych. Do stosunków międzypaństwowych trzeba, ich zdaniem, podchodzić realistycznie, nie wolno dać się zwieść retoryce przywódców, każde państwo chce przedstawić się w korzystnym świetle, chodzi właśnie o stworzenie jak najkorzystniejszego wizerunku na zewnątrz, prestiżu.

Oczywiście, istnieją także tak zwani neorealiści, którzy mówią, że ważne są też inne podmioty, na przykład korporacje ponadnarodowe, ale jednak państwa decydują, ich wpływ na te korporacje jest większy od wpływu korporacji na państwa. Zgadza się także, że współpraca państw jest możliwa, lecz tylko w celu lepszego zrealizowania celów jakiejś grupy państw, które występują w sojuszu i rywalizują z jakąś inną grupą czy poszczególnymi państwami. Współpraca ma sens, mówią realisci o nastawieniu liberalnym, ponieważ stabilizuje stosunki. Mamy też do czynienia z tak zwanymi realistami strukturalnymi, którzy twierdzą ponadto, że zachowanie się konkretnego państwa musi być oceniane tak, jak oceniany jest klient na rynku. Przychodzi kupić chleb, ale musi zapłacić żadaną cenę. Chociaż w istocie zbiór wszystkich klientów w poważnym stopniu wyznacza cenę tego chleba. Ale klient działa indywidualnie i musi zaakceptować te warunki.

Jak w tej optyce badać działania Stolicy Apostolskiej? Nie jest ona takim państwem jak inne, ale jest podmiotem tych stosunków, zarówno stosunków międzynarodowych, jak i prawa międzynarodowego. Czy jej odmienność rzeczywiście unieważnia kryteria realistów, w każdym wariantcie tego realizmu?

A może sięgnąć do innych koncepcji stosunków międzynarodowych? I teraz mamy paradoks, ponieważ wydaje się, że bardziej atrakcyjne może się okazać podejście postmodernistyczne. Dlaczego – paradoks? Ponieważ znane mi wypowiedzi przedstawicieli Kościoła wyrażają głęboki krytycyzm wobec postmodernizmu. Nie jestem zresztą pewien zakresu znaczeniowego tego pojęcia. Filozofowie postmodernizmu zdają się mówić nam, że ten cały kult nauki, racjonalizacji czy racjonalności, efektywności, i tak dalej, jest właściwie niemoralny. Tak naprawdę etyka nie jest brana pod uwagę. I zamiast pretendować do jakiejś nauki, prawdy, obiektywnej, niepodważalnej, czy nie lepiej jest popatrzeć na konkretnego człowieka, na konkretne państwo, w konkretny sposób, mieć wielość interpretacji, wtedy rośnie szansa dostrzeżenia

czegoś ludzkiego, czegoś specjalnego. Może więc na takim gruncie istnieje większa szansa dostrzeżenia specyfiki działania Stolicy Apostolskiej.

Wreszcie mamy tak zwanych konstruktywistów, którzy powiadają: wszystko jest takie, jak jest przez nas opisywane, jak my to widzimy, i każda propozycja ideologiczna czy filozoficzna, ale także religijna, stwarza ten świat sam w sobie. Wobec tego stosunki międzynarodowe, poszczególni ludzie, grupy społeczne, klasy i rządy, to wszystko właściwie istnieje w takim stopniu, w jakim my to opisujemy i dlatego pojawiają się szczególne wizje stosunków międzynarodowych, a przecież – i to spostrzeżenie dodaję od siebie – nie zaprzeczy nikt, że Stolica Apostolska ma szczególną wizję stosunków międzynarodowych, więc może jakiegoś rodzaju konstruktywizm zaoferuje nam metodę zdiagnozowania miejsca Stolicy Apostolskiej w tych stosunkach? Wydaje się jednak, że żadne z tych podejść nie przyniesie zbyt wiele, raczej może jakaś ich kombinacja, albo całkiem nowa koncepcja. Oczywiście, mamy prace historyków, ale historycy na ogół stronią od sformułowań teoretycznych. Innymi słowy, więcej tu znaków zapytania niż odpowiedzi, ale na tym też polega rola zagajającego.

Co do drugiego zagadnienia, to znaczy charakterystycznych cech działalności Stolicy Apostolskiej: Stolica Apostolska jest bardzo aktywna w przedstawianiu pewnej wizji człowieka, stosunków społecznych, a więc i stosunków międzynarodowych, ale jaką ma hierarchię? Co obecnie jest głównym przesłaniem papieża? Pokój? Rozwój? Solidarność? Coś innego? Jaka jest hierarchia oczekiwań przedstawianych ludziom kierującym państwami? Zrozumienie tej hierarchii jest ważne dla oceny papieskich tekstów z tego zakresu, zachowań, działań dyplomatycznych.

I wreszcie trzeci punkt, to jest spis spraw trudnych, kontrowersyjnych. W dyskursie historyków najczęściej występuje problematyka drugiej wojny. W problematyce drugiej wojny zaś – stosunek Stolicy Apostolskiej wobec faszyzmu, wobec

komunizmu, działań zbrojnych, zachowań okupacyjnych, postawa wobec Żydów, postawa papieża wobec katolików w poszczególnych krajach, przede wszystkim w Niemczech i Polsce. Potrzebna jest odpowiedź na pytanie, co jest głównym celem działań Stolicy Apostolskiej w tak konfliktowej sytuacji jak wojna? Bezpieczeństwo Kościoła? Ta lista spraw trudnych jest znacznie dłuższa, widnieją na niej takie sprawy, jak postawa Stolicy Apostolskiej wobec wielkich mocarstw w czasie zimnej wojny, obecnie stosunek do interwencji w Iraku, a szerzej – stosunek do wojny i pokoju, a może najważniejsze pytanie dotyczy, po prostu, panujących w świecie stosunków społecznych? Pamiętamy wprowadzenie problematyki trzecioświatowej przez *Populorum progressio* i późniejsze bardzo ważne dokumenty. Jaki jest stosunek Stolicy Apostolskiej do demokracji w państwie jako przesłanki jego pokojowej polityki? Czym dyktowany jest stosunek do integracji europejskiej? Nie unikniemy pytania o implikacje ekumenizmu. Albowiem ekumenizm wywołuje implikacje w stosunkach międzynarodowych, bardzo daleko idące, interesujące i słabo opracowane.

A.D. Rotfeld: Zabieram głos jako pierwszy, z pewnym oporem, niestety, muszę wyjść wcześniej. Prawdopodobnie jestem w tym gronie najmniej kompetentny i najmniej upoważniony do wyrażania opinii na temat roli Stolicy Apostolskiej w stosunkach międzynarodowych. Zacznę od pewnego ogólnego stwierdzenia: Stolica Apostolska ma, ponad wszelką wątpliwość, dwojakie funkcje. Na gruncie prawnomiędzynarodowym jest to państwo, podmiot prawa międzynarodowego. Pan profesor Stemplowski wymienił w tym kontekście szkołę realistów, poczynając od Hansa Morgenthaua i innych. W swoim myśleniu kierowali się oni tym, że państwa były jedynymi podmiotami prawa międzynarodowego. Otóż chcę powiedzieć, że był to pogląd reprezentowany nie tylko przez szkołę realistów. W prawie międzynarodowym w ogóle tylko państwa – do niedawna,

teraz również organizacje międzynarodowe – są uważane za podmioty prawa międzynarodowego. Nie znaczy to, że tak być powinno, ale tak jest. Państwo w rozumieniu prawa międzynarodowego spełnia trzy kryteria. Musi mieć terytorium, ludność i skutecznie wykonywaną władzę. Do tej pory na gruncie obowiązującego prawa międzynarodowego nieuzasadnione, nieuprawnione jest pytanie, czy ta władza ma legitymację, jaką ma legitymację, znaczenie ma tylko jedna kwestia: czy ta władza jest efektywnie wykonywana. Państwo Watykańskie ma terytorium, ludność oraz skutecznie wykonywaną władzę. Jakkolwiek w odniesieniu do ludności opowiem pewną anegdotę. Otóż wiele lat temu, po ukończeniu studiów, zdawałem egzamin do Ministerstwa Spraw Zagranicznych (od razu uprzedzę bieg wypadków: nie zostałem przyjęty, chociaż egzamin wtedy zdałem celująco). Jedyne pytanie, na które nie udzieliłem oczekiwanej prawidłowej odpowiedzi, było następujące: jakie obywatelstwo mają mieszkańcy Watykanu? Odpowiedź moja i kolegi, z którym zdawałem, była taka sama: obywatele, to znaczy mieszkańcy Watykanu mają obywatelstwo Stolicy Apostolskiej. Komisja stwierdziła, że jest to błędna odpowiedź, że odpowiadam fatalnie. Zmierzam do tego, że nasza odpowiedź była prawidłowa – ale tylko częściowo. Mieszkańcy i obywatele Stolicy Apostolskiej mają zawsze dwa obywatelstwa. Nie ma bowiem wyłącznego obywatelstwa Stolicy Apostolskiej. Każdy mieszkaniec Watykanu ma obywatelstwo Stolicy Apostolskiej i obywatelstwo kraju, z którego pochodzi. Jest to drobna anegdota, która ilustruje specyfikę tego państwa. Watykan nie jest bowiem zwykłym państwem. Co decyduje o jego niezwykłości – to jego wymiar duchowy. Głową Stolicy Apostolskiej jest głowa Kościoła katolickiego, Kościoła powszechnego, którego ranga moralna i znaczenie wykraczają poza wpływy każdego innego państwa. W słynnej rozmowie – a raczej anegdocie, Churchill miał powiedzieć do Stalina, że w czasie wojny należy brać pod uwagę stanowisko, jakie zajmie papież. Na to Stalin miał odpowiedzieć

często cytowanym pytaniem: „A ile dywizji ma papież?” Było w tej krótkiej wymianie zdań zderzenie dwóch mentalności: Churchilla, który miał świadomość – jakkolwiek nie był katolikiem – jak ogromny wpływ wywiera Stolica Apostolska na sytuację w świecie i dlaczego należy liczyć się ze stanowiskiem papieża, a z drugiej strony – mentalności dyktatora ogromnego imperium, dla którego liczyła się tylko naga siła. Z punktu widzenia potencjału, którym normalnie państwa dysponują, Stolica Apostolska nie mogłaby oczywiście odgrywać tej roli, jaką odgrywa. Jej siła moralna jest nieporównanie większa. Być może dzisiaj jest ona jeszcze większa, niż było to w wiekach średnich czy w czasach renesansu, kiedy Stolica Apostolska dysponowała ogromną potęgą ekonomiczną i militarną, ale jej autorytet moralny był niższy. Była po prostu jedną ze stron uczestniczących w grze politycznej. Jakkolwiek miała dodatkowy wymiar władzy duchowej, ponadpaństwowej. Dzisiaj wymiar duchowy Stolicy Apostolskiej nie jest postrzegany w kategorii zwykłego państwa, tylko w znacznie szerszym zakresie, który zapewne będzie tu jeszcze przedmiotem rozważań.

W czym ja osobiście upatruję tę wielkość oraz znaczenie i rangę Stolicy Apostolskiej w stosunkach międzynarodowych? Przede wszystkim postrzegam Kościół jako formację, a Stolicę Apostolską jako twór prawnomiędzynarodowy. Papież, jako głowa Kościoła, znacznie lepiej rozpoznaje znaki czasu niż inni uczestnicy stosunków międzynarodowych, niż inni aktorzy na politycznej scenie. Nie chcę być gołosłowny. Ilustracją mojej tezy jest wpływ, jaki papież wywarł na pokojową transformację całego systemu międzynarodowego, na upadek w wyniku implozji systemu totalitarnego w Polsce i w innych krajach pod dominacją radziecką. Dość powszechne jest przekonanie, że krótkie i bardzo proste zawołanie papieża na placu Zwycięstwa: „Nie lękajcie się”, było inspiracją do powstania masowego ruchu „Solidarność”. Można je było traktować na różne sposoby, ale w istocie rzeczy milionowe masy uświadomiły sobie wtedy swoją siłę. Ludzie

dostrzegli, że są wspólnotą – że są razem. Papież zwracał się nie tylko do tego miliona ludzi zebranych na placu Zwycięstwa (dzisiejszym palcu Piłsudskiego), ale do całej Polski. I w istocie rzeczy, Jan Paweł II dotknął czegoś, co było nie do wyrażenia w działalności konspiracyjnej ani w rozlicznych analizach politycznych. Wszystkie te publikacje miały znaczenie, ale potrzebny był zapłon od osoby, która była – i jest po dziś dzień – największym autorytetem dla milionów Polaków. Papież zwracał się nie tylko do wierzących.

Tak się złożyło, że w swoim czasie rozmawiałem na ten temat z Michaiłem Gorbaczowem. Opowiadał o swojej wizycie u papieża, po czym podarował mi książkę, gdzie opublikowana jest poufna niegdyś notatka z rozmowy Gorbaczowa z papieżem. Dziś, oczywiście, nie jest już poufna i została włączona do opublikowanego zbioru dokumentów *Lata trudnych decyzji*¹. Jak wyglądała rozmowa z papieżem? W tomie poświęconym Gorbaczowowi² przytoczyłem fragment tej notatki. Wynika z niej, że papież dostrzegł w Gorbaczowie człowieka, który dokona wielkiej zmiany. W grudniu 1999 roku byłem w Stolicy Apostolskiej i dostąpiłem zaszczytu dłuższej rozmowy z Janem Pawłem II, w czasie której prawie całą godzinę poświęciliśmy temu, co się dzieje w Rosji. W pewnym momencie papież zapytał mnie, czy znam Gorbaczowa. Powiedziałem, że tak. Kiedy ostatnio go widziałem? Trzy tygodnie temu. Czy ma on szansę, żeby odegrać jeszcze polityczną rolę w Rosji? Powiedziałem, że nie ma szansy, że on jest bardzo wysoko oceniany przez pewną grupę inteligencji, że stosunek do niego zmienił się na lepszy po śmierci żony i że ludzie dostrzegli uczciwość i szlachet-

¹ M. Gorbaczow, *Gody trudnych reszenij. Izbrannoje 1985–1992 gg.*, Riazań 1993.

² A.D. Rotfeld, *Sukces niepowodzenia, czyli fenomen Michaiła Gorbaczowa*, wprowadzenie do książki: A. Graczow, *Gorbaczow*, przeł. M. Jagiełło, Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 2003, s. 19–20

ność w jego postępowaniu, ale – generalnie rzecz biorąc – miliony Rosjan uważają go za bezpośredniego sprawcę zła, człowieka, który doprowadził do upadku imperium. Papież wysłuchał mnie i powiedział: „Jaka szkoda. Przecież ten człowiek wyprowadził ten kraj z nieludzkiego reżimu”. Odpowiedziałem, że jeśli tak się stało, to prowadziła go ręka Opatrzności, bo jego celem była naprawa reżimu, a nie jego obalenie. Papież uśmiechnął się i zauważył: „Może tak i było rzeczywiście, ale istota polega na tym, że ten człowiek nie użył siły dla utrzymania władzy”.

I tutaj chciałbym podjąć wątek siły w polityce. W stosunkach międzynarodowych siła jest kategorią niezwykle ważną. Otóż Kościół i papież z założenia są przeciwni użyciu siły. To nie jest tylko kwestia zasad prawnych, ale przede wszystkim zasad moralnych. Taka też była postawa Kościoła wobec interwencji amerykańskiej w Iraku. Moim zdaniem ta interwencja była zasadna z wielu powodów. Stosunki międzynarodowe ulegają radykalnym zmianom i dziś dyktatura, która prowadzi nie tylko do masowych naruszeń praw człowieka, ale wręcz do eksterminacji własnej ludności, nie może być chroniona zasadą absolutnego pojmowania suwerenności. Nie do utrzymania jest dziś stanowisko, że wszystko, co się dzieje na terytorium państwa, objęte jest dyskrejonalną władzą tego państwa, a wszystko inne stanowi ingerencję. Z tego punktu widzenia uważam, że interwencja Stanów Zjednoczonych była zasadna. Można sobie postawić pytanie: dlaczego wobec tego Stolica Apostolska była tej wojnie tak zdecydowanie przeciwna? W moim przekonaniu ten sprzeciw odegrał ogromną rolę w tym, by interwencja amerykańska nie była postrzegana jako wojna religijna. Wojna świata chrześcijańskiego ze światem islamu. I trzeba powiedzieć, że jeśli nie jest ona tak postrzegana – a nie jest – w każdym razie nikt do tej pory takiego motywu tej wojny nie prezentował – to jest w tym ogromna zasługa zdecydowanego stanowiska, jakie zajął papież. I jego publicznej dyplomacji. Rzecz w tym, że Stolica Apostolska do tej pory uciekała się z reguły do

dplomacji dyskretnej jako bardziej skutecznej. Ale w tej kwestii nie było dyskrecji. Wręcz przeciwnie. Chodziło o to, żeby miliony ludzi w świecie islamu miały świadomość, że Stolica Apostolska jest interwencji zbrojnej przeciwna.

H.J. Muszyński: Jeżeli pan profesor robi zastrzeżenia, że w sprawach stosunków międzynarodowych wypowiada się z ostrożnością, to cóż ja mam powiedzieć? Po raz pierwszy jestem w takim gremium, które się zajmuje sprawami międzynarodowymi. Poruszane kwestie widzę raczej od strony wewnętrznej Kościoła.

Rzeczywiście Kościół jest podmiotem prawa międzynarodowego. Pan profesor podał kryteria, z czego się bardzo cieszę, bo ja – prawdę mówiąc – nie bardzo je znałem. Myślę, że jeśli chodzi o państwo kościelne, to trzeba uwzględnić jego genezę. W sensie geograficznym jest to państwo szczątkowe, obejmuje bowiem zaledwie czterdzieści cztery hektary. Takie państwo zrozumiałe jest jedynie jako twór historyczny, szczątek państwa kościelnego od strony politycznej. Natomiast od strony kościelnej Watykan jest dla mnie symbolem autonomii i niezależności Kościoła. Bogu dzięki, że jest podmiotem prawa międzynarodowego. Dla Kościoła katolickiego, zwłaszcza po *Vaticanum Secundum*, Państwo Watykańskie jest przykładem autonomii władzy cywilnej i kościelnej. Kościół może kierować się swoimi prawami, swoimi zasadami, bez wpływów politycznych z zewnątrz, i to jest gwarancją jego autonomii. Jako potwierdzenie tego podałbym fakt, że Stolica Apostolska zabiegała o uznanie tożsamości Kościołów, co zostało uwzględnione w tym traktacie. Dla Stolicy Apostolskiej, Rady Biskupów Europy, to był zawsze pierwszy warunek. Nie *invocatio Dei*, tylko tożsamość Kościołów. Stanowi to dzisiaj w dużym stopniu o autorytecie moralnym. Ale ja dodałbym jeszcze jedną rzecz, mianowicie – autorytet religijny. Nie ma drugiego Kościoła, który miałby struktury tak jednolite, z jednolitą władzą. Można by to nazwać „jakością katolicką”. Gdy się uderza w

papieża, to się uderza w Kościół, i odwrotnie – gdy się uderza w Kościół, to się uderza w papieża. Pod tym względem, w moim przekonaniu, polityk, człowiek, który się zajmuje sprawami społecznymi czy politycznymi, nie zawsze może, i pewnie nie musi uwzględniać aspektu eklezjalnego, o którym pan profesor wspominał. Ale w imię obiektywizmu – w moim przekonaniu – nie powinien tego wykluczać. Choć jest to przede wszystkim przedmiot wiary, to jednak jeżeli chce się prowadzić sensowny i konstruktywny dialog, trzeba usiłować zrozumieć drugiego człowieka tak, jak on sam siebie rozumie. Ktoś może się z tym nie zgodzić, ale z punktu widzenia wiary, dla ludzi wierzących – Państwo Watykańskie i Stolica Apostolska to są dwie rzeczywistości. Watykan jest tworem międzynarodowym, politycznym, natomiast Stolica Apostolska z punktu widzenia religijnego, dla człowieka wierzącego jest – poprawnie musielibyśmy powiedzieć – widzialną głową Kościoła. Protestanci są bardzo wrażliwi i dokładni pod względem sformułowań. Słusznie precyzują, że głową Kościoła w rozumieniu biblijnym, teologicznym jest Chrystus. Dlatego o papieżu zawsze się powinno mówić: widzialna głowa Kościoła. Jakkolwiek nazwalibyśmy Stolicę Apostolską: tworem, strukturą, organizacją, dziełem, to ma ona specyficzne posłannictwo religijne właściwe Kościołowi. Cele polityczne pewnie nie dadzą się wykluczyć, bo cokolwiek się powie na tematy etyczno-religijne w kontekście współczesnych wydarzeń, to już będzie to miało zabarwienie polityczne. Ale to jest jak gdyby drugoplanowy wymiar posłannictwa czy zadań, które ma do spełnienia papież. Głównym celem, głównym zadaniem – tak jak ja to widzę – jest obrona godności człowieka na podstawie przesłanek biblijnych. Obrona człowieka, który jest zewnętrznym upostaciowaniem, obrazem i wyobrażeniem Boga. Stanowi to specyfikę tradycji judeochrześcijańskiej i w moim przekonaniu jest wielkim zadaniem, niezwykle aktualnym w dzisiejszych czasach. Nie zawsze uświadamiamy sobie, że w Kościele dokonał się jakby „kopernikański przewrót”. Stało się to za

sprawą wypowiedzi Jana Pawła II: „drogą Kościoła jest człowiek”. Proszę zwrócić uwagę, że przez wiele wieków to Kościół był „drogą człowieka”. Wypowiedź papieża niejako odwróciła kierunki i stała się w ten sposób wielkim „przewrotem kopernikańskim”. W rozumieniu papieża jednym z celów misji Kościoła w świecie jest obrona godności człowieka we wszystkich jego wymiarach. Stąd w odniesieniu do kwestii wojny Kościół nie może zająć innego stanowiska jak to, które zajmuje. Jest tak przede wszystkim ze względu na wierność Ewangelii. Nie jest to pacyfizm, lecz wierność Ewangelii. Nie „pokój za wszelką cenę”, ale wypełnienie jednego z istotnych elementów Kazania na Górze, jakim jest wizja człowieka, który został opisany jako *eirenopoios*, czyli czyniący pokój, ktoś wewnętrznie pojednany z Bogiem i z ludźmi. To jest ideał ewangeliczny i jeżeli papież chce być wierny, jeżeli Kościół chce być wierny Ewangelii, to musi się opowiadać za pokojem, bo wojna z reguły oznacza pogwałcenie praw ludzkich. Nie znam takiej wojny, która by nie pociągała za sobą niesprawiedliwości i pogwałcenia godności człowieka, i to człowieka niewinnego. Stąd zgadzam się z panem profesorem w kwestii doniosłości i roli papieża dzisiaj. Z tym jednak, że ujmuję ją z punktu widzenia religijnego. Papież odgrywa rolę profetyczną, jest prorokiem naszych czasów i to nie tylko w odniesieniu do Polski. Żeby to skonkretyzować, pozwolę sobie przypomnieć, że w 1979 roku w Gnieźnie papież podniósł głos w imieniu – jak to ujął – „zapomnianych narodów Wschodu”. Wszyscy wiemy, co to znaczy. Wśród komentarzy z tamtych czasów można było znaleźć opinie, że papież to fantasta, utopista z nierealnymi prognozami. Muszę przyznać, że ja sam nie do końca wierzyłem temu, co mówi. Wydawało mi się, że papież patrzy za daleko, ma inną opcję, ma zbyt śmiałą wizję. Okazało się jednak, że była to wizja profetyczna. Wizja, która należy do istoty Kościoła. Papież w naszych czasach, w moim przekonaniu, znakomicie tę wizję upodmiotawia.

Z. Zieliński: Użyto tu pewnych pojęć, co do których występuje problem ich ścisłości. Jestem teologiem, ale właściwie to przede wszystkim historykiem, a w historiografii ścisłość jest ogromnie ważna. W niektórych pracach historycznych używa się zamiennie pojęć, które nie są zamienne, i w rezultacie występują pewne nieporozumienia, na przykład z tym obywatelstwem w odniesieniu do mieszkańców Watykanu. Tutaj, oczywiście, według Traktatów Laterańskich trzeba wziąć pod uwagę *Città del Vaticano*, zatem ściśle biorąc, jest to obywatelstwo Państwa Watykańskiego. Stolica Apostolska w tych traktatach jest zupełnie inaczej rozumiana niżeli *Città del Vaticano*, dlatego że Stolica Apostolska działa na obszarze tego państwa, które daje jej suwerenność polityczną. Oczywiście, jest to czysta fikcja nawet z punktu widzenia stosunków międzynarodowych, dlatego że to państwo nie daje suwerenności w rozumieniu politycznym ogólnie przyjętym. Na przykład Stalin pytał się „ile ma papież dywizji?”; ani jednej i ani jednego czołgu. Więc jaka to suwerenność? To jest tylko suwerenność w sensie moralnym, ale nie w wymiarze politycznym. Nie jest to, oczywiście, rzecz nowa, rewelacja. Na co tu warto zwrócić uwagę, to stanowisko dyplomacji i związana z tym polityka państw, które z natury rzeczy nie uznają Stolicy Apostolskiej, a w jakiś sposób chcą zyskać, powiedzmy, jej atestację, wykorzystując ją dla swoich celów. Tego nie było w przypadku państw komunistycznych aż do momentu, kiedy Chruszczow objął władzę w ZSRR, notabene najbardziej antyreligijny ze wszystkich władców, poza Stalinem. Bo podobno Chruszczow, kiedy na horyzoncie widział wieżę kościelną, zwykł mawiać: „wysadzić w powietrze”. A więc reszta kościołów, choćby na Białorusi, Ukrainie, została zniszczona i to głównie za czasów Chruszczowa. Ale Jan XXIII stworzył polityce sowieckiej okazję do wyjścia z impasu, identyfikowała ona bowiem Stolicę Apostolską tylko z Państwem Watykańskim, bo Stolica Apostolska właściwie rozumiana nie była dla niej żadnym pojęciem, Watykan zaś mógł być kojarzony z polityką imperializmu

amerykańskiego. Przecież nie musimy daleko sięgać, by to przypomnieć, bo bez mała cała nasza prasa z tego czasu tylko w ten sposób się odnosiła do Stolicy Apostolskiej. W końcu stwarzało to impas. Jak daleko bowiem można było iść, ignorując rzeczywistość i zastępując ją własnymi aksjomatami. U nas argumentowano to tym, że Stolica Apostolska nie uznaje granic zachodnich Polski, bo tam diecezji się nie tworzy. Do siedemdziesiątego drugiego roku tak było. Ale już właściwie mniej więcej od połowy lat gomułkowskich coraz mniej się mówi o tych diecezjach i o tych granicach, dlatego że to był pusty frazes, narzędzie raz potrzebne, innym razem zbędne. Natomiast Chruszczow, moim zdaniem, skorzystał bardzo zrzęcznie z sytuacji, jaka się wytworzyła po śmierci Piusa XII, obojętne było, kto będzie papieżem, byleby nie miał takiej samej doktryny, jaką miał Pius XII. A Jan XXIII był człowiekiem, który w niczym przecież nie odstępował od zasad Kościoła, jakie zawsze głosił Pius XII i każdy inny papież przed nim. Ale był człowiekiem jowialnym, otwartym, przyjmował wszystkich.

A.D. Rotfeld: A jednak – to Jan XXIII ogłosił encyklikę *Pacem in terris*.

Z. Zieliński: Tak, oczywiście. Ale Pius XII mógłby też enuncjację wydać.

A.D. Rotfeld: Ale nie ogłosił. Przecież ta encyklika była wydarzeniem. Sygnalizowała inny sposób myślenia.

Z. Zieliński: Cóż, nie wydał. Nie opublikował encykliki, tej, którą teraz opublikowali Georges Passelecq i Bernard Suchcky. To ta encyklika o Żydach, która była przygotowana przez Piusa XI, a Pius XII jej nie wydał.

A.D. Rotfeld: Właśnie.

Z. Zieliński: Ale *Humani generis dignitas*, tak się zaczyna ta encyklika...

H.J. Muszyński: *Unitas*.

Z. Zieliński: *Unitas*, przepraszam. Proszę państwa, więc dlaczego Pius XII tego nie wydał? To długi temat. Jeśli natomiast chodzi o pokój, jest ponad pięćset enuncjacji Piusa XII na ten temat, które nie zostały zupełnie zauważone dlatego, że przytłumiła je wojna, Holocaust i podobne sprawy. A Jan XXIII spowodował to, że właściwie cała retoryka wiążąca Kościół, papieża i imperializm amerykański straciła rację bytu. Trzeba było uprawiać zgoła innego rodzaju politykę. Dlatego wydaje się, że jednak warunki polityczne, one w zdecydowany sposób wpływały, co prawda, nie na zachowanie się papieża w stosunku do takich zagadnień, jak: pokój, nawet powiedziałbym, prawa ludzkie, i tak dalej, ale na kontakty, jakie nagle papieżstwo zaczyna mieć, i to twórcze kontakty z państwami, które w zasadzie nie widziały w Stolicy Apostolskiej znaczącego autorytetu. Religijnego autorytetu, oczywiście. Ksiądz arcybiskup tu mówił o religijnym autorytecie, i to jest prawda. Ale tego autorytetu te państwa nie uznawały. Moim zdaniem, dzisiaj liberalne państwa, jak się je tam nazwie, powiedzmy, postmodernistyczne czy inne, one też tego autorytetu nie uznają. I dlatego, uważam, stoimy na takim zakręcie, nie wiadomo, w jakim kierunku to wszystko pójdzie, ale założmy, że ta Europa, która się w tej chwili tworzy – a podobno ma w swym Parlamencie Europejskim aż pięć osób, które się przyznają do katolicyzmu, podobno praktykujących katolików – dostrzeże w papieżu wiążący autorytet. Polityczne uwarunkowania są tutaj niewątpliwie ważne, ale czy dziś najważniejsze? A co na temat roli Jana Pawła II pisali Carl Bernstein i Marco Politi, najpierw

w tygodniku „Time”, potem ukazała się ich książka *Jego Świątobliwość Jan Paweł II (His Holiness)*. Tam jest dużo głupstw, ale celowo przemyconych.

R. Stemplowski: A książka Goldhagena?

Z. Zieliński: Goldhagen to jest inna sprawa. Ja ją recenzowałem, więc dokładnie znam. To jest książka, która, moim zdaniem, nie zasługuje na żadną uwagę, bo jest przewrotna i zamiast faktów zawiera supozycje autora. Ale chodzi o książkę Bernsteina i Politiego.

H.J. Muszyński: Bernstein i Politi.

Z. Zieliński: Proszę państwa, ta książka jest bardzo zręczna. Jest tam szereg rzeczy, które absolutnie można włożyć między bajki. Na przykład to, że papież organizował transporty broni, i podobne głupstwa. Ale jest jedna prawda w tej książce zawarta, mianowicie że polityka Reagana, która fizycznie wprost degradowała Związek Radziecki i wzrost autorytetu moralnego papieża, pokazującą możliwość zupełnie innej rzeczywistości niż ta, w której świat żył, że to wszystko razem się zbiegało i stworzyło właśnie taki skutek, jaki powstał. Poza tym, chociażby ta książka w każdej innej dziedzinie zasługiwała przynajmniej na niepamięć, to ta jedna teza w niej zawarta już ma swoją wymowę. Przepraszam, nie chcę przedłużać, może zatem jeszcze jedna sprawa. Przed chwilą ksiądz arcybiskup powiedział, że protestanci widzą papieża jako widzialną głowę Kościoła. O czym to świadczy? To świadczy o tym, że protestanci zupełnie zmienili definicję Kościoła, dlatego że staroluteranie, a więc ci ortodoksyjni protestanci, nie mogliby tego powiedzieć, ponieważ Luter twierdził, że pretendowanie do bycia głową Kościoła – podczas gdy Chrystus jest wyłącznie jego głową, a jedyną

wykładnią jest tu Biblia – taka uzurpacja jest bluźnierstwem. I faktycznie prawdą jest, że wielu protestantów tak obecnie mówi, a są i tacy, którzy gotowi są papieża uznać, ale to też tylko świadczy o przemodelowaniu i polaryzacji obecnej świadomości protestanckiej. Jest wszakże zarazem pewnego rodzaju promesa na coś, co może się rozwinąć w ruch, który sprawi, że ekumenizm nie będzie już tylko pustym frazesem, ale stanie się czymś rzeczywiście ważnym.

R. Stemplowski: *Ad vocem?*

H.J. Muszyński: *Ad vocem* odnośnie do protestantów, bo nie możemy dziś mówić o nauce protestanckiej – to są różne denominacje. Nawet nie wszyscy się definiują jako Kościół, dlatego trzeba być bardzo ostrożnym w uogólnianiu spraw dotyczących protestantyzmu.

D. Morawski: Z punktu widzenia moich watykańskich doświadczeń chciałbym to ująć w dwóch przykładach. Ale zanim przejdę do tych przykładów, jeżeli chodzi o konflikty, chciałbym powiedzieć, że we wkładzie Stolicy Apostolskiej w rozwiązywanie różnych konfliktów międzynarodowych główną rolę odgrywa to, o czym tu była mowa, ogólnie biorąc, metoda i styl postępowania dyplomacji papieskiej. Bo jest to bezinteresowna służba dla Kościoła powszechnego, która trwa. Ale w pontyfikacie Jana Pawła II doszło do pewnej zmiany, zmiany w podejściu do rozwiązywania tych konfliktów. Poważnemu ograniczeniu, w moim przekonaniu, uległ bowiem aspekt instytucjonalny i czystej dyplomacji. Na korzyść czego? Wymiaru, ja bym powiedział, misyjnego i kulturowego, który stawia człowieka, jego godność – tu była o tym mowa, ale dla mnie to jest sprawa zasadnicza – i podstawowe wartości w centrum i wizji, i troski papieża. Papież stał się w tym zakresie pionierem nowej drogi, ale zarazem też kontynuatorem, o czym świadczy mianowanie kardynała

Casarolię. Potem się zmieniły dyrektywy, zwłaszcza w zakresie *Ostpolitik*, ale Casaroli był sekretarzem stanu, o czym będę jeszcze mówił. Jest pionierem i tak samo kontynuatorem dotychczasowego stylu działania. Pokazał to przecież właśnie pokojowy wpływ na przebieg długiego rozkładu bloku wschodniego i systemu totalitarnego, systemu – papież bardzo cenił to określenie – *sradicato dal dentro*, wyjałowionego od wewnątrz. Takie było zdanie Casarolię, bardzo nagłośnione w prasie, zwłaszcza włoskiej. Tak zwana watykańska *Ostpolitik* przekształciła się w misję mądrze i skutecznie realizowaną. Misja ta nie polega, tak jak uprzednio, na dążeniu do – ja bym powiedział – jednostronnego *modus vivendi* między Stolicą Apostolską i poszczególnymi państwami. Polega ona na postawie krytycznie otwartej, i przede wszystkim na waloryzacji określonych społeczeństw i Kościołów, na wkładzie w rozwiązywanie konfliktów pod znakiem wolności religijnej i obywatelskiej, nie tylko religijnej, lecz właśnie szanującej prawa obywatelskie; polega na poszanowaniu wolności prawidłowo pojmowanej, czyli uporządkowanej. Tu przypominam sobie Johna Foleya, arcybiskupa, który był na dziesięciolecie Katolickiej Agencji Informacyjnej. Otóż on wtedy mówił o sytuacji w czasach ateizmu państwowego, ale także potem, w okresie nieuporządkowanej wolności. Aż do przełomu 1989 roku mieliśmy do czynienia z konfliktem na ogół pokojowym. Były też innego rodzaju konflikty, między państwami, o charakterze zbrojnym, mam tu na myśli Pragę – i mogły łatwo stać się zbrojnym zagrożeniem. Otóż po rozpadzie ZSRR konflikt w sposób paradoksalny trwa nadal, tylko nie z nowym państwem rosyjskim, ale z patriarchatem moskiewskim. Rozmawiałem o tym z arcybiskupem Kondrusiewiczem w Grodnie, zanim pojechał do Moskwy. Konflikt ten jest bardzo trudny, jak wiadomo, nie na skutek sporów czy różnic, rozbieżności doktrynalnych, lecz na skutek pewnych kompleksów natury psychologicznej, kompleksów zadawnionych, również w odniesieniu do polskości. Była o tym bardzo ciekawa dyskusja w „Więzi”, także w „Wiado-

mościach”. Pismo amerykańskie „Inside the Vatican”, z którym stale współpracuję, ma stałą rubrykę „Lux ex Oriente”. Chodzi między innymi o to, żeby nie atakować nieświadomie tego przewrażliwienia prawosławnego. Powtarzające się oskarżenie o katolicki prozelityzm wiąże się w dużej mierze z zarzutem o nierespektowanie przez Kościół katolicki zasady tak zwanego kanonicznego terytorium prawosławia. W związku z tym kontestowana była decyzja normalizacji, do której mieliśmy całkowite prawo – Kościół miał, Stolica Apostolska – normalizacji struktur Kościoła katolickiego przez podniesienie administratur apostolskich do statusu diecezji. Wprawdzie decyzja watykańska jako taka nie może budzić żadnych zastrzeżeń, ale pewne wątpliwości – jestem prawie do tego przekonany – może wzbudzić *timing* tej decyzji. Mogła być, moim zdaniem, lepiej przygotowana i odłożona, czy raczej rozłożona w czasie. Właśnie w celu zapobieżenia temu nieuniknionemu rozdrażnieniu prawosławnych, co było do przewidzenia. Drugi przykład aktywności Stolicy Apostolskiej, o której chciałbym jeszcze powiedzieć krótko, dotyczy konfliktu w Iraku. Otóż najpierw, jak wiadomo, zaistniał sprzeciw, dlaczego – o tym była już mowa – nie chcę powtarzać. W każdym razie, nie było tego prawomocnego placet ze strony ONZ-etu. Stanowisko to, jak wiadomo, uległo zmianie po zakończeniu działań wojennych, kiedy nabrało wymiaru humanitarnego. Najpierw sekretarz stanu, nuncjusz w Bagdadzie, a ostatnio papież wyraźnie podkreślili znaczenie stabilizacji pokojowej i właśnie tej humanitarnej akcji. Ma to, moim zdaniem, dalekosiężny wymiar, związany nie tylko z przywróceniem normalizacji, suwerenności Iraku, lecz także pośrednio, z położeniem kresu zapalnej sytuacji w Izraelu oraz, ogólnie rzecz biorąc, wiąże się z konstruktywnym dialogiem z dwiema religiami monoteistycznymi: judaizmem i islamem, bliskim chrześcijaństwem. Jedna uwaga, nie polemiczna, ale wyjaśniająca. Chodzi o rzekomy rozdźwięk, o którym pisze prasa polska. Na niedawnym forum Akademii Dyplomatycznej dosyć znana osobistość wyraźnie

wystąpiła z tym, że istnieje rozdźwięk między zaangażowaniem Stolicy Apostolskiej w rozwiązywanie konfliktu w Iraku a obecnością polskich dywizji i kapelanów, także naszym stanowiskiem sojuszniczym wobec Ameryki, w warunkach naszego zaangażowania europejskiego. Ma to bowiem jakoby szkodzić naszej akcesji do Unii Europejskiej, zwłaszcza stosunkom z Francją i Niemcami. Otóż tego typu podejście na zasadzie *do ut des*, moim zdaniem, jest nie do przyjęcia. Zarówno ze względów etycznych, jak i politycznych, bo jest oparte na rachubach doktrynalnych i chyba kontrowersyjnych. W konkluzji chciałbym powiedzieć, że podejście Stolicy Apostolskiej do rozwiązywania konfliktów międzynarodowych odznacza się także uznawaniem odrębności etnicznych i wyznaniowych, a więc tym samym umiejętnością różnienia się. To oznacza również wzajemne uzupełnianie się. Papież rozwinął ten wątek w jednym ze swych ważnych przemówień na sesji Papieskiej Rady do spraw Kultury. W Polsce – nie chcę tutaj jakiegś polemiki wprowadzać – ten wątek papieski jest niedoceniany. Niedoceniany, czy nawet ignorowany, co łączy się, w moim przekonaniu, z selektywną recepcją – chyba się ksiądz arcybiskup zgodzi ze mną – tego pontyfikatu. To wezwanie papieskie dotyczące różnienia się, które oznacza także wzajemne uzupełnianie się, stoi pod znakiem godności człowieka i podstawowych wartości. Łączy się z przemyślanym nastawieniem do zjawiska rosnącej globalizacji, a tym samym konieczności zapobiegania konfliktom. Mnie się wydaje, że właśnie w wymiarze prewencyjnym stanowisko Stolicy Apostolskiej wobec obecnych i nowych konfliktów może odegrać znaczącą rolę. Tak jak to oceniane jest przez niektóre kancelarie dyplomatyczne na świecie. Dziękuję bardzo za uwagę.

W. Rojek: Proszę państwa, ja jestem z wykształcenia historykiem. Na wstępie chciałbym wobec tego zastrzec, iż moja wiedza teologiczna jest niekompletna, a w konsekwencji

użycie pewnych pojęć teologicznych może być dalekie od poprawności. Przechodząc *ad rem*, zamierzam dać wyraz paru ogólnym refleksjom na temat relacji między państwem, rozumianym zgodnie z wcześniejszymi wypowiedziami, a Stolicą Apostolską jako specyficznym przykładem tej kategorii pojęć. Po pierwsze, w naszej – może to z kolei zabrzmie niepoprawnie politycznie – „białej”, wywodzącej się z antyku, cywilizacji, nastąpiło, chociażby w zestawieniu z islamem, zerwanie w pewnym momencie dziejów bezpośredniego, instytucjonalnego związku religii ze sprawami państwowymi, publicznymi. Godzi się przypomnieć, że w niewielkim stopniu przyczyniło się do tego stanu rzeczy zniknięcie w 1870 r. Państwa Kościelnego, a w znacznie większym, być może decydującym, wcześniejsza reformacja i jej konsekwencje. Myślę, że obu stronom wyszło to na korzyść, rozwinął się bowiem świecki nurt rozważań nad kondycją człowieka i otaczającego go świata, a Kościół przestał być uwikłany w sprawy doczesne.

Niewątpliwie władcy, czy też władza na różnych szczeblach jest zobowiązana do podejmowania decyzji – i to często w miarę szybko i sprawnie. Kościół ze swej strony mógł się natomiast ograniczyć, będąc depozytariuszem prawd wiary, do przypominania tak rządzącym, jak i rządzonym o pewnych trwałych, w pewnym sensie ponadczasowych zasadach, prawidłach zarówno życia prywatnego, jak i społecznego. W tym stanie rzeczy Kościół łacniej też zdobywał się na mówienie prawdy – a prawda często bywa przecież gorzka – o sprawach w danym momencie dziejów niepopularnych, sprzecznych z aktualnym kursem politycznym. Stał się więc niejako sumieniem elit sprawujących władzę, a nie czynnikiem, który w istotnej mierze kształtuje ich bieżące, a zatem często koniunkturalne, pociągnięcia. Sądzę, że powyższą konstatację można odnieść także do Stolicy Apostolskiej.

Warto również, jak sądzę, poświęcić parę słów refleksji na temat tego słynnego, retorycznego pytania Stalina: „Ileż to papież na dywizji?” Zadając je, *generalissimus* dał wyraz

niewiary w możliwość skutecznego działania przez strukturę, która nie dysponuje siłą fizyczną. Należy, moim zdaniem, zwrócić w tym kontekście uwagę na fakt istnienia w naszym kręgu cywilizacyjnym państw, których ludność była od dłuższego czasu i jest nadal traktowana podmiotowo. Oczywiście, kształtowanie owej podmiotowości to proces długotrwały. Klasycznym tego przykładem może być bez wątpienia Anglia, gdzie został on trwale zapoczątkowany w momencie przyjęcia w roku 1215 Wielkiej Karty Swobód, będącej gwarancją wolności zarówno osobistej, jak i politycznych w życiu społecznym. W Rzeczypospolitej szlacheckiej na uwagę zasługuje natomiast wiek XVI, kiedy to powstaje naród polityczny, bo nasza szlachta – niezależnie od jej etnicznego pochodzenia – za takowy się uważała. Otóż bez wątpienia zyskał on sobie daleko idącą podmiotowość. Potem jednak ten proces w Polsce uległ, niestety, wynaturzeniu, potoczył się w zupełnie innym kierunku niż w demokracjach zachodnich. Wracając natomiast do głównej myśli o znaczeniu podmiotowości tak w życiu prywatnym, jak i zbiorowym, chciałbym w tym kontekście podkreślić, iż społeczeństwa rozwijające się od stuleci w poszanowaniu dla pewnych cenionych w naszym kręgu cywilizacyjnym wartości, często upatrujące ich źródeł w sferze transcendentnej, wypracowują siłę moralną, która na ogół nie tylko z powodzeniem współzawodniczy z potęgą czysto materialną, zwłaszcza w dłuższym okresie, ale także przydaje głębszego sensu jej użyciu. Rola Kościoła w tym procesie jest nie do przecenienia.

W wieku XX, który notabene słusznie chyba bywa postrzegany jako wiek totalitaryzmów, zarówno brunatnego, jak i czerwonego, ale także innych, mniej „sprawnych dyktatur”, mamy do czynienia z natychmiastowym niemal przekładem woli dyktatora na decyzje polityczne i „normy” prawne. Syntezą owej sytuacji może być bez wątpienia niemalże anegdotyczne stwierdzenie, zaprezentowane swego czasu w którymś z drugoobiegowych tytułów, a przypisywane Stanisławowi Lemowi, „że każde dążenie do szczęścia

powszechnego, byle dostatecznie potężne, kończy się budowaniem kryminalów”. Tak się przecież stało i w ZSRR, i w nazistowskich Niemczech. Nie chcę, a prawdę mówiąc, także nie potrafię w tej chwili rozstrzygnąć dylematu, na ile ówczesni rządzący zdawali sobie sprawę z tego, że wcielany przez nich w życie system jest utopijny i jedynie prosta żądza władzy pchała ich ku działaniu, a na ile rzeczywiście zmierzali do uszczęśliwiania rządzonych przez siebie społeczeństw. To jedna kwestia.

Druga sprowadza się do konstatacji, że władza absolutna, znajdująca nierzadko wyraz w próbach ręcznego sterowania tak złożonym mechanizmem, jakim jest współczesne, czy w ogóle nowożytne państwo, prowadzi – także w warunkach pokojowych – do kompletnego upadku nie tylko moralnego, lecz zarazem materialnego. Niemcom oszczędzono tego – zwłaszcza w sferze materialnej – jedynie dlatego, że zdruzgotała je druga wojna światowa. ZSRR natomiast rozpadł się głównie z tego powodu, że doprowadził do wszechogarniającej degrengolady swej gospodarki, i w rezultacie pozbawił system możliwości skutecznego działania. Epoka Ronalda Reagana i poczynania tego prezydenta były jedynie kulminacją tego, co się w tej materii działo od dłuższego już czasu. Widać to wyraźnie w świetle takich jednostkowych przypadków, jak los Jeziora Aralskiego, które po wykorzystaniu wód toczonych przez dwie wpadające do niego rzeki: Syr-darię i Amu-darię, do nawadniania pól – wysycha, a pustynie miast użyźnienia i trwałego powstania na nich rozległych pól uprawnych, na przykład bawełny, rozszerzają się. Zdaniem wielu specjalistów, obecnie, gdy powierzchnia jeziora zmniejszyła się o połowę, jest ono po prostu nie do uratowania.

Tak więc rozmaitej maści totalitaryzmy, woluntaryzm w polityce i innych sferach życia publicznego, brak norm moralnych, czy mówiąc bardziej kolokwialnie, wszelkiego rodzaju „drogi na skróty” prowadzą w konsekwencji do dewastacji nie tylko materialnej strony życia człowieka, lecz

co istotniejsze, także duchowej. Naprawienie spustoszeń poczynionych w tej drugiej jest trudne, wymaga dziesiątków lat usilnej, wszechstronnej pracy, a czasami wręcz zmiany pokoleniowej. Natomiast hołdowanie określonej postawie moralnej nie przynosi często – zwłaszcza w krótkim przedziale czasowym – spektakularnych sukcesów, ale stwarza trwałe podstawy do odnoszenia ich w dalszej perspektywie do – mówiąc patetycznie – budowania świata otwartego, przynajmniej w jakiejś mierze, na potrzeby drugiego człowieka.

Watykan, uwolniwszy się niejako od spraw doczesnych, staje się rodzajem sumienia, rodzajem autorytetu moralnego. Pozwala to Stolicy Apostolskiej, o czym już wspomniałem, mówiąc o Kościołach w poszczególnych krajach, patrzeć na politykę z pewnego dystansu, planować działania obliczone na dłuższe okresy. Klasycznym przykładem jest sytuacja z czasów pontyfikatu Piusa XI u schyłku lat trzydziestych XX w., kiedy papież w pewnym momencie chciał odwołać nuncjusza z Berlina. Wtedy to ówczesny sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej kardynał Eugenio Pacelli, a późniejszy papież Pius XII, oponuje, dowodząc, że owszem, łatwo nuncjusza odwołać, ale o wiele trudniej będzie potem, gdy przeważy opcja o przywróceniu stosunków dyplomatycznych, zyskać *agrément* dla nowego. Dowodził, iż wymagać to będzie koncesji kosztem czterdzieści milionów katolików niemieckich. W państwach świeckich ta perspektywa często ulega zaburzeniu. Pokusa osiągnięcia sukcesów, może nie natychmiastowych, ale w każdym razie w krótszym czasie, powoduje, że rządzący podejmują decyzje, których negatywne konsekwencje trudno następnie zniwelować, a w każdym razie ma to swoją, często niebagatelną, cenę.

Warto w tym kontekście przypomnieć również, iż nawet w sytuacjach, gdy Kościół decydował się na zasadniczą demonstrację własnego zdania, starał się zarazem nie tracić z oczu spraw pozornie drugorzędnych, które jednak kiedyś mogły nabrać znaczenia. Otóż, jak pamiętamy, przełom lat

dwudziestych i trzydziestych stanowił w dotychczasowej historii bolszewickiej Rosji, a następnie ZSRR szczyt agresywnej propagandy antyreligijnej. W tym stanie rzeczy papież Pius XI w liście datowanym 2 lutego 1930 r., a skierowanym do kardynała wikariusza Rzymu Pompiliego, wezwał wiernych do modlitewnej wyprawy krzyżowej, mającej być pokutą za niegodziwe poczynania władz sowieckich. Papież zapraszał w nim wiernych na 19 marca 1930 r. do Bazyliki św. Piotra na uroczystą mszę pokutną za Rosję. Krok ten stał się, rzecz jasna, przyczyną szeregu dyplomatycznych działań i kontrakcji. Generalnie rzecz ujmując, kraje europejskie odniosły się do inicjatywy papieża powściągliwie. Powstała sytuacja przysporzyła jedynie kłopotu odrębnemu od Ambasady Niemiec Poselstwu Bawarii przy Stolicy Apostolskiej. Otóż ewentualny udział posła Monachium Saverio Rittera we mszy mógł posłużyć Berlinowi jako pretekst do likwidacji tejże placówki. Ostatecznie jednak posłowi Ritterowi udało się – za zgodą papieża – uchylić od obecności w bazylice. Znowu więc mamy do czynienia z wyborami „długodystansowymi”, mającymi na uwadze nie tylko chwilę bieżącą, lecz także dalszą przyszłość.

Chciałbym uczynić jeszcze jedną uwagę w tym nurcie rozważań à propos poruszonej przez pana dyrektora Stemplowskiego kwestii pacyfizmu. W przypadku Stolicy Apostolskiej ma on niewątpliwie wymiar religijny, ideologiczny. Wynika z przekonania, że wojna jest złem, że właściwie nie ma wojen, które by z sobą tego zła nie niosły. Abstrahując w tym momencie od podziału na wojny sprawiedliwe i niesprawiedliwe, ten element zła zawsze występuje. W ujęciu państwa świeckiego u podłoża pacyfizmu będą natomiast, w znaczącej mierze, leżeć względy materialne, czasami po prostu ludzkie. W końcu pacyfizm francuski, po stratach ludzkich poniesionych przez to państwo na frontach pierwszej wojny światowej, jest tego stanu rzeczy wymowną ilustracją. Skoro, tak jak w przypadku Francji, mamy do czynienia z rozstrzelaniem – w dosłownym tego słowa znaczeniu – pokoleń

młodych mężczyzn, wielu ich roczników, to potem rzutowało to w sposób znaczący na postawy społeczeństwa francuskiego w okresie międzywojennym, a także w latach drugiej wojny światowej.

Kontynuując tę myśl, należy odnotować postawę Brytyjczyków, którzy w 1919 roku, po wygranej *de iure* wojnie, skonstatowali, że każda następna będzie oznaczała, niezależnie od jej formalnego rezultatu, faktyczny kres imperium brytyjskiego. No i tak się rzeczywiście stało. Tymczasem w tymże 1919 roku, zdając sobie w pełni sprawę z ówczesnego stanu rzeczy, Komitet Obrony Imperium podjął decyzję, że kraj został do tego stopnia wyczerpany „wielką wojną”, iż nie stać go na prowadzenie żadnej poważniejszej w najbliższej dekadzie. W 1928 roku rząd Jego Królewskiej Mości poszedł jeszcze dalej i uprościł podejmowanie w tej sprawie decyzji. Odtąd zasadę tę prolongowano automatycznie na każdy następny rok. Odstąpiono od niej dopiero u schyłku lat trzydziestych, w obliczu bezpośredniego zagrożenia totalitaryzmami. W obu tych przypadkach pacyfizm ma wymiar czysto praktyczny. Czasami bardziej ludzki, czasami mniej, ale zawsze związany z funkcjonowaniem podstawowych struktur państwa i społeczeństwa. Stąd też czasami strojenie się przez polityków czy dyplomatów w szaty obrońców pokoju trąci hipokryzją.

Natomiast Stolicę Apostolską stać, powiedziałbym, na swego rodzaju luksus, na nadawanie takim pojęciom jak pacyfizm wymiaru ogólnoludzkiego, ideologicznego, przekraczającego wymogi chwili bieżącej. Rodzi to różnice między Stolicą Apostolską a państwem świeckim. Pierwsza, ujmując rzecz nieco trywialnie, wynika z uwolnienia jej – początkowo zresztą uwolnienia niechcianego, postrzeganego jako krzywda, wszak Pius IX ekskomunikował nawet jej sprawców – od własnego państwa. W związku z powyższym Stolicę Apostolską stać na zajmowanie stanowiska, które odrywa się od wąsko rozumianej doczesności, zwłaszcza z punktu widzenia krótszej perspektywy czasowej. Oceniając natomiast decyzje

i ich konsekwencje z dłuższego dystansu, dostrzec można także pozytywnie rozumianą siłę i wartość idei funkcjonujących w naszym kręgu cywilizacyjnym, w którym przecież chrześcijaństwo jest bardzo istotnym nurtem. Jeśli się o tym zapomina, to właściwie nie sposób zrozumieć tej cywilizacji.

S. Dębski: W nawiązaniu do wypowiedzi moich przedmówców – dwa uzupełnienia. Warto pamiętać, że słynna riposta Stalina w trakcie rozmowy z Churchillem o dywizjach watykańskich miała miejsce podczas rozmowy o Polsce. Obaj politycy rozmawiali, co z tą Polską w przyszłości zrobić. Druga rzecz to drobne uzupełnienie à propos Chruszczowa. Otóż trzeba pamiętać, że on reprezentował władze sowieckie na pogrzebie arcybiskupa hrabiego Andrzeja Szeptyckiego (5 listopada 1944 roku), i to też jest dość ciekawy wątek. Połączenie dwóch „istot”, znaczy Kościoła i państwa, prawdy i polityki, zawiera w sobie trudność metodologiczną dla badacza, który obserwuje stanowisko Stolicy Apostolskiej w sprawach międzynarodowych. Pojawia się pytanie: jak podejmowane są decyzje. Zwłaszcza takie, które dla postronnego obserwatora nie mają jasnych moralnych odpowiedzi. Niewątpliwie druga wojna światowa tworzy taki *casus* bardzo wygodny do obserwacji. Po pierwsze dlatego, że trudności z podejmowaniem właściwych decyzji mieli wówczas wszyscy ważniejsi politycy. Rzeczywiście, trudno wskazać chociażby jednego przywódcę mocarstwa, który nie popełniłby w tym czasie większych błędów. Pojawia się też problem natury politycznej. Jeżeli Stolica Apostolska dąży do powstrzymania wybuchu konfliktów, to czy wszystkie środki, które do tego prowadzą, mogą zostać podjęte? Czy mogą uzyskać aprobatę Stolicy Apostolskiej także jako depozytariusza prawdy objawionej?

Zwróćmy uwagę na stosunek Watykanu do komunizmu. Wiadomo, że przynajmniej od roku 1923 stosunki między Watykanem a Rosją bolszewicką były wrogie, wzajemnie wrogie. W latach 1917–1923 bolszewicy traktowali katolików

w Rosji nieco lepiej niż prawosławnych. Po 1923 roku to się zmienia. W 1934 roku Mołotow oświadczył, iż rewolucji światowej – to jest cytat – grozi największe niebezpieczeństwo, jeżeli dojdzie do ideologicznego i organizacyjnego porozumienia międzynarodówki katolickiej i faszystowskiej. Czy za tymi słowami kryło się jakieś realne zagrożenie? Otóż tak. Przynajmniej części księży niemieckich faszyzm wydawał się obroną przeciwko bolszewizmowi, łatwym instrumentem. Jakiś sojusz Kościoła z faszyzmem jawnie wypowiadającym się przeciwko bolszewizmowi, zwalczającym ten bolszewizm, wydawał się do zaakceptowania. Wszelkie tego rodzaju dywagacje zostały jednak odrzucone przez Kościół w roku 1937 w dwóch encyklikach z marca tego roku: *Mit brennender Sorge* (14 marca) i *Divini Redemptoris* (19 marca). Jedna wypowiadająca się ostro przeciwko faszyzmowi, druga ostro przeciwko komunizmowi. Niemniej jednak przychodzi rok 1939 i trzeba ratować pokój. Nie tylko dlatego, że każda wojna niesie ze sobą poważne konsekwencje dla wolności jednostki, wiąże się z utratą stabilności, bezpieczeństwa i wolności, lecz także dlatego, że zdaniem papieża Piusa XII koniec tej wojny może przynieść wygraną bolszewizmowi. Stolica Apostolska jest informowana o możliwości porozumienia między III Rzeszą i Związkiem Sowieckim. Podejmowane są kroki zmierzające do jakiegoś pokojowego rozwiązania konfliktu polsko-niemieckiego. I teraz znowu pojawia się pytanie. Jeżeli wojna jest tym największym złem, przed którym Kościół stara się ludzkość ochronić, to czy pokój także nie może nieść jakichś konsekwencji dla wolności jednostki? Jeżeli na przykład w 1939 roku zgoda na nowe Monachium oznaczałaby rewizję granicy polsko-niemieckiej, jakaś część ludności również mogłaby się poczuć zniewolona. Niewątpliwie da się udowodnić, że Watykan przychyliłby się do rozwiązania naśladowującego konferencję monachijską, aby uniknąć wybuchu konfliktu. Większego zła. I tu przechodzimy to problemu większego zła. Politycznego problemu *de facto*. Otóż dla Stolicy Apostolskiej konferencja w sprawie

konfliktu niemiecko-polskiego bez udziału Związku Sowieckiego jest mniejszym złem niż wojna powszechna. Brak potępienia niemieckiej i sowieckiej agresji na Polskę jest także mniejszym złem niż ewentualne zaostrzenie stosunków, będące konsekwencją potępienia agresorów. Papież nie potępia niemieckiej agresji na Polskę ani też sowieckiej napaści na nią 17 września, a francuskiemu ambasadorowi, który żąda takiego stanowiska od Watykanu, Giovanni Montini, późniejszy Paweł VI, odpowiada, że każde słowo przeciwko Niemcom i Rosji zostałoby gorzko odplacone katolikom, poddanym władzy tych reżimów. Jaki zatem wpływ na politykę Watykanu ma fakt istnienia kilkunastu czy kilkudziesięciu milionów katolików, poddanych władzy reżimu? Jeżeli chodzi o konflikt polsko-niemiecki, można znaleźć takie wypowiedzi przedstawicieli Kurii, że oto mamy do czynienia z szukaniem równowagi między czterdziestoma milionami niemieckich katolików i trzydziestoma milionami polskich. Z kolei po rozbiore Polski w 1939 roku w różnych wypowiedziach pojawia się argument jedenastu milionów katolików będących pod władzą sowiecką. Mogli oni jakoby ucierpieć w konsekwencji przyjęcia przez Watykan jakiegoś antysowieckiego stanowiska. Tu jest także bardzo ciekawy wątek stanowiska Stolicy Apostolskiej wobec eksterminacji Żydów. Przynajmniej część historyków przywołuje w tym wypadku podobne argumenty. Takie niebezpieczeństwo mogło realnie istnieć. Jest jeszcze jedna ciekawa rzecz. Jeżeli została odrzucona możliwość zawarcia jakiegoś sojuszu z faszyzmem przeciwko bolszewizmowi, to czy w wypadku już całkiem widocznych potworności związanych z okupacją nazistowską w Europie nie pojawiła się w Watykanie idea odwrotna? Czy nie rozważano, aby z pomocą Związku Sowieckiego próbować ograniczyć rozprzestrzenianie się niemieckiego nazizmu? W swoich badaniach natrafiłem na bardzo ciekawy i nieznaną dokument zamieszczony w wydawnictwie „Dokumenty Wnieszniej Polityki”, w tomie XXIII (Kn 1, dok. 427). Jest to depeza sowieckiego posła w Bel-

gradzie Płotnikowa z października 1940 roku. Otóż ten Płotnikow pisze do Mołotowa 10 października, że odwiedził go Tomisław Pochlajew, chorwacki zakonnik, redaktor zagrzebskiego pisma „Žyzn”. Zakonnik ten przedstawił się jako osobisty wysłannik papieża, z którym rozmawiał w Rzymie. Papież polecił mu zakomunikować sowieckiemu poselstwu, iż Ojciec Święty oraz jego kardynałowie uznają społeczne i ekonomiczne osiągnięcia komunizmu i – to jest cytat – chcą jedności działań w ZSRS w obecnej sytuacji międzynarodowej na podstawie określonego *modus vivendi*, że są gotowi dołączyć do wielkiej siły Związku Sowieckiego moralną siłą Kościoła katolickiego z jego światowymi kontaktami. Obawiając się włoskich faszystów, papież nie zdecydował się zwrócić do ZSRS poprzez sowieckie poselstwo w Rzymie i prosi o ściśle konfidencjonalne przyjęcie w Moskwie jego wysłanników. Kościół katolicki w chwili obecnej dostrzega ogromne niebezpieczeństwo ze strony niemieckiego rasizmu. Odpowiedź Mołotowa była negatywna. Polecił, aby Płotnikow unikał wszelkich możliwości dalszego kontaktu z watykańskim wysłannikiem, a jeżeli się takie na nieszczęście mu przytrafią, to żeby odpowiedział, że ze względu na stanowisko Cerkwi prawosławnej przyjmowanie jakichkolwiek wysłanników papieża w Moskwie jest niedopuszczalne. Niemniej jednak ten dokument otwiera szereg pytań, nad którymi należałoby się zastanowić. Być może chodziło o to, żeby przekazać stronie sowieckiej jakieś ostrzeżenie przed zbliżającym się atakiem niemieckim. Wiadomo skądinąd, że ówczesny generał jezuitów Włodzimierz Ledóchowski posiadał takie informacje o przygotowaniach niemieckich do ataku na ZSRR.

Z. Zieliński: Który to był rok, przepraszam?

S. Dębski: To jest rok czterdziesty.

I ostatni wątek, który wiąże się nieco ze sprawą iracką. Mianowicie problem wojny krzyżowej. Zderzenie cywilizacji, wojna krzyżowa. Otóż w środowiskach niemieckich, niemieckich katolików, także współpracujących czy działających w partii nazistowskiej, pojawiła się koncepcja, aby przed wojną ze Związkiem Sowieckim rozpropagować wraz z Kościołem ideę wojny krzyżowej. Że oto armie Hitlera w imieniu całej Europy rozprawiają się z tym potwornym, zwyrodniałym ustrojem bolszewickim. I trzeba jasno powiedzieć, że ta idea również została przez Kościół odrzucona. Stanowczo. Były pewne naciski włoskie, ponieważ Włosi się w tę wojnę zaangażowali. Otóż we wrześniu czterdziestego pierwszego roku prałat Tardini odpowiadał włoskiemu ambasadorowi w Berlinie Attolico, który domagał się przyłączenia się Kościoła do wyprawy krzyżowej w Rosji, następującym zdaniem: „Widzę wyprawę krzyżową, ale nie widzę krzyżowców”. A teraz nawiązanie do wątku irackiego. Jest pewna tradycja, jak się wydaje, w Kościele, aby nie używać wojen czy podobnych środków nawet wówczas, gdy wydawałoby się to zgodne z jakimiś ziemskimi celami Kościoła. Zgodne z ideą chrystianizacji Rosji na przykład. Wiadomo, w latach trzydziestych takie idee się także pojawiały. Kościół stanowczo odrzucał podobne pomysły, gdyż w dłuższym czasie, takie jest to rozumowanie, jak sądzę, nie przyniosą one korzyści ani Kościołowi, ani ludzkości.

A.D. Rotfeld: Chciałbym wrócić do roli Stolicy Apostolskiej w stosunkach międzynarodowych. Moja pierwsza uwaga po wysłuchaniu doktora Dębskiego sprowadza się do tego, że Stolicę Apostolską i Państwo Watykańskie należy postrzegać w kategoriach rozwoju i procesu historycznego. Wszyscy mamy tendencję, żeby patrzeć na pewne sprawy w sposób ahistoryczny. To znaczy – z perspektywy naszej dzisiejszej świadomości oceniać to, co działo się w latach trzydziestych. Trzeba pamiętać, że inna była wówczas Europa, inna świadomość ludzi, inne były stosunki i to, co dzisiaj

wydaje się niewyobrażalne, wtedy było dopuszczalne i miało miejsce. Ale i odwrotnie. Pewne rzeczy, które wydarzyły się później, w tamtym czasie, dla ludzi lat trzydziestych byłyby nie do przyjęcia.

Są takie trzy obszary, które w moim przekonaniu sprawiają, że Stolica Apostolska w swoim oddziaływaniu na współczesny świat styka się z innymi państwami poszukującymi ładu międzynarodowego. Pierwsza to sprawa, która przenika wszystkie orędzia papieża wydawane na Światowy Dzień Pokoju. Mam na myśli „Wychowanie dla pokoju”. Muszę powiedzieć, że miałem dość sceptyczny stosunek do tej koncepcji, choćby z tego względu, że jest w niej zawarty spory ładunek idealizmu. Ci, którzy znają konstytucję UNESCO, wiedzą, że jest tam często cytowany fragment preambuły, który w przybliżeniu brzmi tak: „ponieważ wojny biorą początek w umysłach ludzi, więc i w umysłach ludzi musi być zbudowana obrona pokoju”. W swoim czasie pisałem na ten temat. Zwróciłem wówczas uwagę na to, że wojny nie powstają w umysłach ludzkich. Wojny powstają w wyniku sprzeczności interesów. Dopiero te sprzeczności interesów znajdują odbicie w umyśle ludzkim. To nie jest tak, że człowiek ze swej natury jest agresywny i po prostu dokonuje napaści na innego człowieka – są pewne motywy i przyczyny różnic interesów. Z reguły wojny toczyły się o władzę lub o terytorium, ale są dziesiątki innych powodów, które mogą powodować tę kolizję interesów. Składają się one na określoną percepcję sytuacji, która powoduje, że dochodzi w pewnym momencie do konfliktu zbrojnego. Niemniej dostrzegam w idei wychowania dla pokoju niezwykle ważny składnik, powiedziałbym, element tworzenia pewnego systemu wartości. Ludzie, którzy nie mają żadnego systemu moralnego, nieporównanie łatwiej ulegają argumentacji, którą oferują uproszczone wizje systemów totalitarnych. Innymi słowy, nie można budować pokoju bez tego, do czego nawołuje papież i co jest dzisiaj, powiedziałbym, obowiązkiem wpływającym z ogromnej ilości zobowiązań przyjętych

w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych, w ramach Rady Europy, w ramach Unii Europejskiej czy też UNESCO. W tym punkcie spotyka się wizja i rola w stosunkach międzynarodowych Kościoła oraz innych państw.

Drugą taką płaszczyzną są prawo i praworządność. Kościół nie tylko nawołuje do respektowania prawa, lecz także uważa, że prawo stanowi nieodłączny element budowania stosunków międzynarodowych opartych na sprawiedliwości i tolerancji. Właśnie ten element tolerancji trzeba widzieć w perspektywie historycznej. Dzisiejszy Kościół – ekumeniczny, otwarty, tolerancyjny – nie zawsze był taki. Nie tylko zresztą Kościół. I mimo że jeszcze dziś pojawiają się wydawnictwa, które są sprzedawane w kościołach, a które trudno uznać za świadectwo tolerancji, traktujemy je jako margines, jako coś, co jest anachronizmem i co wśród ludzi Kościoła budzi zażenowanie. Nie zawsze tak było. Nastąpiła tu radykalna zmiana. Ksiądz profesor mówił, że już Pius XII wypowiadał się w tym duchu, mnie się jednak wydaje, że tą cezurą był pontyfikat Jana XXIII. Tak się złożyło, że pracując w tym czasie tu, w tym gmachu, doprowadziłem do opublikowania, w „Zbiorze Dokumentów” PISM, encykliki *Pacem in terris* zarówno po łacinie, jak i po polsku – zaraz po jej ogłoszeniu. Uznałem wówczas, że to jest dokument o znaczeniu fundamentalnym i czas tę ocenę potwierdził.

Trzecim obszarem są instytucje międzynarodowe. Z formalnoprawnego punktu widzenia podmiotem i uczestnikiem życia międzynarodowego jest Państwo Watykańskie, ale we wszystkich instytucjach międzynarodowych reprezentowana jest Stolica Apostolska – prawie nigdzie nie używa się nazwy Watykan, tylko właśnie Stolica Apostolska, *Holy See*, *Santa Sede* itd. Stolica Apostolska przywiązuje ogromną wagę do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Mam tu przed sobą ostatnie orędzie wydane z okazji Światowego Dnia Pokoju, w którym papież przypomina swoje wystąpienie na forum Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych w 1995 roku, w którym mówił, że Organizacja Narodów Zjedno-

czonych musi wznieść się ponad model bezdusznej instytucji typu administracyjnego i stać się ośrodkiem moralnym, w którym wszystkie narody świata będą się czuły jak u siebie w domu, rozwijając wspólną świadomość tego, że stanowią jedną rodzinę narodów. To przemówienie papieża zachowało swoją wagę po dziś dzień, a nawet nabrało większego znaczenia, ponieważ Narody Zjednoczone nie odpowiadają potrzebom czasu. Wynika to po prostu stąd, że historia i bezpieczeństwo międzynarodowe to nie stan, lecz proces. Instytucje, struktury, organizacje mają charakter statyczny i w związku z tym ten proces, zwłaszcza gdy jest przyspieszony, powoduje, że niektóre instytucje ulegają marginalizacji i skostnieniu. I tak, moim zdaniem, stało się w znacznej mierze z Narodami Zjednoczonymi. I dlatego papież mówi o bezdusznej instytucji typu administracyjnego. Dotyczy to zresztą ogromnej liczby innych instytucji, nie tylko ONZ.

W najnowszym orędziu papieża jest jeszcze coś ważniejszego. Powiedział on mianowicie, że: „porządek prawny ustalony przez pryncypia, wypracowany na przestrzeni wieków, aby normować relacje między suwerennymi państwami, staje przed trudnościami w zetknięciu z konfliktami, w których biorą udział również byty, których nie można odnieść do tradycyjnych ujęć państwowości”. Otóż uważam, że to orędzie dotyka kluczowego elementu, który sprawia, że obecny system międzynarodowy w ogóle, a system bezpieczeństwa międzynarodowego w szczególności wymagają fundamentalnej przebudowy, również na płaszczyźnie prawnej. Chodzi mi o to, że fundament całego obowiązującego prawa jest przytoczona przeze mnie na początku prawna definicja państwa, obejmująca trzy elementy: ludność, terytorium i skutecznie wykonywaną władzę. A skoro tak, to nie ma potrzeby zadawać sobie pytania, czy ta skutecznie wykonywana władza ma legitymację demokratyczną, czy jej nie ma. Czy jest wykonywana w sposób zgodny z innymi zasadami, czy nie jest. Z formalnoprawnego punktu widzenia pytania te nie mają znaczenia, ponieważ państwo jest

chronione absolutystyczną zasadą suwerennej równości i niemieszania się w sprawy wewnętrzne, nieinterwencji, nieingerencji. Takie podejście nie wytrzymuje próby czasu i jeżeli ład międzynarodowy ma być oparty na prawie, sprawiedliwości i tolerancji, to ten wymóg skutecznie wykonywanej władzy musi być uzupełniony elementami kwalifikującymi. To ma być władza nie tylko skutecznie wykonywana, lecz także wykonywana zgodnie z obowiązującym prawem międzynarodowym i wewnętrznym. A ponadto już nie tylko państwa, lecz także jednostki są podmiotami tego prawa, i prawo do życia w godności – i w ogóle prawo do życia – musi być traktowane jako bezwzględnie obowiązujące każde państwo. Uzasadnianie na gruncie prawa, że państwa są do tego zobowiązane, wymaga dzisiaj niezwyklej ekwilibrystyki. A ponieważ słowo „interwencja” ma wydźwięk pejoratywny, grupa wybitnych myślicieli przygotowała w ramach ONZ raport pod tytułem „Odpowiedzialność za ochronę” – *Responsibility to protect*. Ten raport zobowiązuje państwa do ochrony swoich własnych obywateli i stwierdza, że każdy obywatel, to znaczy każda jednostka ludzka, ma prawo do ochrony w ogóle. I jeśli jego własne państwo nie daje mu tej ochrony, to zobowiązana jest do tego społeczność międzynarodowa, a w razie konieczności – i inne państwa mają prawo do zastosowania siły, aby ta ochrona była skuteczna. Musimy przyjąć, że w dzisiejszym świecie podmiotami są i powinni być również ludzie i – co ważniejsze – że przyjmowane przez państwa zobowiązania zewnętrzne powinny mieć charakter wewnętrznie wiążący. Innymi słowy, zmierzamy do pewnego – pozytywnego – przeniesienia zobowiązań prawnomiędzynarodowych, które dawniej dotyczyły tylko stosunków międzypaństwowych, w sferę stosunków wewnątrzpaństwowych. Głównym zagrożeniem dla pokoju są dziś nie stosunki między państwami, tylko wewnątrz państw. I to jest główna myśl, którą chciałem, korzystając z łaskawie udzielonego mi czasu, wyrazić.

Z. Zieliński: Poleciałem jednemu ze studentów dokonanie omówienia historiografii papieżstwa w Związku Radzieckim w czasach po śmierci Stalina – bo przedtem nie warto było w ogóle tego tematu ruszać – i w czasach Chruszczowa. Wszyscy radzieccy historycy, u nas zresztą, swego czasu tłumaczeni jako dogmatycy w tej sprawie, twierdzili jedno: nie wolno uwzględniać „papieża” czy „Stolicy Apostolskiej”, jako pojęć odpowiadających znaczeniu tych słów. Autorytet moralny spoczywa na władcy Państwa Watykańskiego, które jest sprzymierzone z imperializmem amerykańskim. A przecież oczywiste jest, że wszystkie państwa, które poważnie zawierają z papieżem jakieś układy, chociażby konkordat, zawierają je ze Stolicą Apostolską. Wracam do sprawy obywatelstwa, ono należy do Città del Vaticano. Ale cała reszta to jest Stolica Apostolska. Jako taka ma swą wagę i autorytet, nie zaś jako państwo niemające w zasadzie nawet możliwości samoistnej egzystencji.

A.D. Rotfeld: Zgadzam się. Ponieważ zacząłem od anegdoty, skończę też anegdotą. Mianowicie Zbigniew Brzeziński w pamiętnikach *Power and Principles* opisuje, jak zadzwonił do papieża w grudniu 1980 roku. Jeśli ktoś podsłuchiwał tę rozmowę – a na pewno podsłuchiwali Rosjanie – musiał uznać ją za dziwaczną w najwyższym stopniu. Oto szef Narodowej Rady Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych dzwoni do głowy Kościoła katolickiego, aby wykorzystać wszystkie nie-wojskowe sposoby, które uniemożliwiłyby interwencję radziecką w Polsce. I ta rozmowa była prowadzona po polsku!

R. Stemplowski: Zanotowałem kilka punktów, które mnie bardzo zainteresowały. Pan Morawski mówił o rezygnacji z klasycznych środków dyplomatycznych na rzecz komunikacji społecznej za pomocą mediów, realizowanej głównie przez osobę papieża. Zauważmy, że to w ogóle dotyczy dzisiejszej techniki sprawowania władzy. Osoby o wysokim

statusie politycznym w organach władzy państwowej komunikują się ze swym audytorium bezpośrednio, ponad parlamentami, by nie powiedzieć z pominięciem parlamentów, i obserwują nie tyle wyniki głosowania w parlamencie, ile wyniki badania opinii publicznej. Niemniej niektóre klasyczne środki dobrze Stolicy Apostolskiej służą. Weźmy dla przykładu działania nuncjusza papieskiego jako dziekana korpusu dyplomatycznego. Przynajmniej raz w roku przemawia on w imieniu korpusu do prezydenta państwa. Arcybiskup Kowalczyk, nuncjusz, komunikuje głowie państwa, towarzyszącym członkom rządu oraz ambasadorom bardzo ważne treści przesłania Stolicy Apostolskiej. Następna kwestia: profesor Rotfeld mówił o skostnieniu instytucji. Zastanawiam się, czy istnieje jakiś wielki system na świecie, który nie ma problemu z petryfikacją pewnych instytucji. Czy zatem służba dyplomatyczna Stolicy Apostolskiej wyłączona jest z tego zjawiska? Trzeci moment: wojny sprawiedliwe, wojny niesprawiedliwe. Oczywiście, istnieje papieskie przesłanie pokoju, jest to znana rzecz, ale jakie to ma konsekwencje dla Urzędu Nauczycielskiego Kościoła na szczeblu poniżej papieskiego? Czy następuje po tym praca uczonych, ekspertów w Kościele rzymskokatolickim, którzy przetwarzają tę nową misję i tę koncepcję na coś, co musi przecież zostać wtopione i zharmonizowane z resztą nauczania? Jeszcze jedna sprawa: mowa była o interwencji i tożsamości. Chcemy bronić praw człowieka, dobrze. Ale co sądzą o prawach człowieka ci, których bronimy? Państwa broniące praw człowieka, tak to nazwijmy, związane są z konkretną kulturą, natomiast obszary zamieszkane przez ludność, która miałaby podlegać tej ochronie, funkcjonują w obrębie innych kultur. Mamy tu więc pewnego rodzaju zderzenie. Tolerancja nie wystarczy. Potrzebna jest chyba postawa bardziej aktywna. Empatia.

Z. Zieliński: A co to jest tolerancja?

R. Stemplowski: Tak, tak właśnie. Empatia tych, którzy bronią, skierowana na zrozumienie i „wyczucie” tych, których bronią. To jest problem dla filozofów i politycy nigdy nie będą w stanie dać syntezy intelektualnej tego zjawiska, zanim taka synteza nie narodzi się tam, gdzie ludzie mogą znacznie więcej uwagi poświęcić tego rodzaju problematyce.

Z. Zieliński: Nasza tożsamość, jak rozumiem? Padło kilka razy to słowo „tożsamość”. I tożsamość Kościoła, i tożsamość społeczności, w końcu i jednostek, bo w końcu wszystko jest tu ważne. Moim zdaniem, to jest chyba najważniejsze, z czym w tej chwili musimy się borykać. Weźmy na przykład tożsamość Kościoła czy papieżstwa. „Papieżstwo” i „Kościół” to są pojęcia tutaj nierozdzielne. Więc chodzi o tożsamość własną Kościoła i papieżstwa oraz ich tożsamość w rozumieniu tych, którzy są na zewnątrz. To nie jest jedno i to samo. Tożsamość Kościoła i papieżstwa w sensie teologicznym ma odniesienia do wartości transcendentnych, a więc do Boga, i do tego, co wynika z akceptowania tych wartości. Natomiast ta tożsamość w pojęciu ustosunkowujących się do niej to może być opcja mniej lub bardziej laicka. Kościół i papież są postrzegani wielorako. Jeśli uznaje się jakieś wartości za transcendentne, to znaczy, że one mają jakieś odniesienie społeczne. A tymczasem tożsamość Kościoła, którą dzisiaj postrzegamy w naszym świecie, a także w historii, zależy zresztą w jakiej epoce, jest po prostu taka sama, jak tożsamość każdej instytucji czy osoby prywatnej. A więc ma bardzo wąski zakres oddziaływania. I tutaj, moim zdaniem, jest źródło odrzucenia powszechności autorytetu Kościoła. Nie tylko teraz, ale w przeszłości totalitarnej, jak my to nazywamy, a nawet i wcześniej. Moglibyśmy sięgnąć chociażby do czasów reformacji i zderzamy się z trudnością powstałą nie tylko w protestantyzmie, lecz także w obozie katolickim, gdzie bywała podważana zasada, że „papież to jest Kościół” (*ubi Petrus ibi Ecclesia*). Otóż, powiedzmy, jeśli tak by sądzono, to Karol V nie uwięziłby papieża i nie

trzymałby go przez kilka miesięcy. Podczas gdy chodziło wyłącznie o sprawy polityczne. A także Karola Wielkiego nie można uważać za człowieka, który nie akceptował Kościoła w całej rozciągłości. Był on wierzący i chodziło mu rzeczywiście o jedność Kościoła, o wszystkie wartości, jakie Kościół reprezentował. Więc to nie jest taka prosta sprawa z tą tożsamością, z jej pojmowaniem i jej kryteriami. Dlatego dzisiaj, gdy mówimy o papieżstwie, akceptuje się papieżstwo, ponieważ papieżstwo ma za sobą tradycję, tradycję Kościoła, 2000 lat, ale czy akceptuje się papieżstwo dlatego, że ma za sobą prawdę objawioną? To jest pytanie. I trzeba sobie na nie odpowiedzieć. Bo jeśli jest inaczej, to wtedy mamy wiele sloganów i deklaracji, które przyjmuje się, akceptuje i potem kładzie do archiwum, a sprawy idą dalej takim tokiem, jakim szły poprzednio. Stąd ważny, choć ogromnie trudny, jest problem uznania tożsamości Kościoła jako rzeczywistości publicznej w pełnym tego słowa znaczeniu. U nas przez cały czas bronili się przed tym komuniści, aż do kwietnia 1989 roku, kiedy właściwie powstała pierwsza wersja konkordatu. Później niewiele do niej dodano. Ale jeden aksjomat był nie do obalenia, jeśli chodzi o politykę państwa PRL-u wobec Kościoła – nie uznać osobowości prawnej Kościoła. I tego nigdy nie wyrzekli się ani Gomułka, ani Gierek, przy całym balansowaniu ich polityki wobec Kościoła. Tego nigdy nie chcieli. Dlaczego? Dlatego że można wysłuchiwać pewnych wskazań Kościoła, ale nie można się zobowiązywać do ich przestrzegania. No i to jest właśnie ten problem, który się nie skończył wraz z totalitaryzmem. To trzeba zapamiętać, by uniknąć sloganów. Jeśli Stolica Apostolska w tej chwili chce rzeczywiście działać, a na pewno chce na forum nowej Europy, jak się o niej zwykło mówić, musi to brać pod uwagę. Bo inaczej będzie musiała firmować nie prawa, lecz urządzenia społeczne, które będą miały odniesienie do moralności, a których ona nie będzie mogła w żaden sposób zaakceptować. To mi się jawi jako problem futurystyczny, a więc na przyszłość, ale on ma korzenie w rzeczywistości historycznej.

H.J. Muszyński: Chciałbym się w tym miejscu odnieść do kilku wątków, które wydają mi się bardzo ważne. Najpierw: prawda i polityka – problem, w moim przekonaniu, niesłychanie istotny. Czy można w tym miejscu mówić o prawdzie objawionej, jak to zostało wspomniane? Wydaje mi się, że nie możemy wymagać za dużo. Dialog, jeżeli ma być prawdziwy, musi być związany z gotowością, ba, nawet usiłowaniem zrozumienia partnera tak dalece, jak to jest możliwe. Ponieważ prawdę objawioną przyjmujemy aktem wiary, wydaje mi się, że nie możemy oczekiwać od innych, aby akceptowali, dajmy na to, wspomnianą przed chwilą całą tożsamość Kościoła, tak jak my ją pojmujemy, w wymiarze bożo-ludzkim. Zależy na jakiej płaszczyźnie toczy się dyskusja. Jeżeli jest to dyskusja teologiczna, to można dyskutować na temat pojmowania objawienia czy tożsamości Kościoła. Jeżeli jednak jest to dyskusja społeczno-polityczna czy ekonomiczna, to powinniśmy na tej płaszczyźnie pozostać.

Jeśli chodzi o pojęcie „wojna”, niewątpliwym wkład papieża polega na tym, że pojęcie to papież zawsze odnosi do prawdy i sprawiedliwości. Dzięki temu to, co jest interesem politycznym, otrzymuje jakiś trwały punkt odniesienia. Obok sprawiedliwości – prawda, i to prawda nie tylko w sensie teologicznym, lecz także w sensie obiektywnego rozeznania rzeczywistości. Wydaje mi się, że w tym miejscu głos Stolicy Apostolskiej ma szczególne znaczenie, ponieważ trudno ją posądzić o jakiś własny interes polityczny. Do podjętej tu kwestii, dziś w kontekście globalizacji, trzeba dodać coraz częściej pojawiające się pojęcie „solidarności”, a więc stosunek człowieka do prawdy i sprawiedliwości. Pan profesor podkreślał rolę prawa; nie ulega wątpliwości, że to prawo jest rzeczywistością fundamentalną, ale już starożytni znali maksymę: *summa lex summa iniuria*. Prawo musi mieć odniesienie do czegoś innego, bo samo może stać się najwyższą niesprawiedliwością, zwłaszcza gdy jest aplikowane w sposób niesprawiedliwy. I to jest chyba jakiś szczególny wkład

ministerium Petrinum. Dlaczego *ministerium Petrinum*? Dlatego, że papież podaje te kryteria na podstawie refleksji nad naszym zrozumieniem źródła objawienia. Inspiracją dla papieża jest Biblia i jakkolwiek byśmy tę Biblię interpretowali, to pozostanie ona istotna i ważna w rozeznaniu panujących warunków czy problemów i podejmowaniu pewnych form działania, które są odpowiedzią na te problemy.

Druga rzecz: często zarzuca się Kościołowi, że ma interes własny, zwłaszcza podczas zawieruchy wojennej. Taki pogląd wyraźnie dochodzi do głosu u Daniela Goldhagena: „Kościół broni tylko własnych interesów”. Niewątpliwie, interes ludzi wierzących, którzy przecież stanowią Kościół, jest ważną sprawą dla papieża, ale wielką zasługą Kościoła jest to, że nie ideologizuje on wojny religijnej. Żeby poprawnie zrozumieć stanowisko Kościoła, trzeba myśleć w kategoriach historycznych i stale brać pod uwagę jego samoświadomość, to, jak on sam siebie pojmuje i rozumie. Weźmy dla przykładu wyprawy krzyżowe i dzisiejszą perspektywę... Jestem bardzo wdzięczny Stolicy Apostolskiej za to, że nie ideologizuje wojny. W kontekście chrześcijańsko-muzułmańskim takie ideologizowanie byłoby bardzo łatwe. Ponieważ u muzułmanów nie ma tego rozgraniczenia, to wystarczyłaby nawet jakaś aluzja Stolicy Apostolskiej, że dla obrony Ewangelii trzeba iść do Iraku i prawdopodobnie nastąpiłaby eskalacja konfliktu do niewyobrażalnych rozmiarów.

Do kwestii wychowania, o którym mówił pan profesor, dodałbym jeszcze jeden element: wychowanie do pokoju. Na ile pokój jest usadowiony w umyśle, a na ile w interesach? Ja myślę, że nie można tego rozgraniczać. Wojskowi siłą rzeczy będą preferowali rozwiązania wojskowe, bo to jest w ich umyśle. Czasami prowadzą negocjacje dyplomatyczne, ale faktycznie do głosu najczęściej dochodzi rozwiązanie siłowe, które dla żołnierza jest argumentem rozstrzygającym. Taki jest umysł żołnierski i takie są jego predyspozycje i nastawienie. I tutaj znowu niesłuchanie istotny jest głos papieża – „wychowanie do pokoju”. To jest długi proces. W swym

przebiegu i kształcie podobny trochę do „wychowania do ekumenizmu”, czyli procesu tworzenia świadomości ekumenicznej. Wszyscy oczekiwali, że ekumenizm, to zbliżenie poszczególnych wyznań chrześcijańskich, pójdzie bardzo gładko i szybko. Tymczasem w chwili obecnej jesteśmy świadkami trudnego impasu. Proces wychowywania do ekumenizmu jednak nie został zahamowany. Ma wyznaczony kierunek. Stąd trzeba bardzo wytrwale i nieprzerwanie tworzyć w Kościołach świadomość ekumeniczną. Wychowywać ludzi dialogu. W tym kontekście pojawia się też problem tolerancji. Ksiądz profesor powiedział, co to znaczy tolerancja. Rzeczywiście, ile razy się używa tego pojęcia, tyle razy trzeba je precyzować. Zwłaszcza w naszym kontekście postkomunistycznym, gdzie przez lata tolerancja oznaczała tolerowanie kogoś, kto inaczej myśli.

R. Stemplowski: Może trudno powiedzieć, co to jest tolerancja, ale jak się spotykamy z jej brakiem, to natychmiast wiadomo, o co chodzi.

H.J. Muszyński: Natomiast tą tolerancją się szafuje. Często mówię, że jestem przeciw tolerancji.

Z. Zieliński: Ja też.

H.J. Muszyński: Jestem przeciw tolerancji, bo tak rozumiana tolerancja, to jest wymysł rewolucji francuskiej, której przedstawiciele ucinali głowy i głosili jednocześnie, że są tolerancyjni.

Postawa ewangeliczna jest dużo głębsza. Chodzi o gotowość zrozumienia drugiego człowieka tak dalece, jak to jest możliwe, i wysiłek zmierzający do zrozumienia go tak, jak on sam siebie rozumie. W pewnym momencie przychodzi jednak czas na to, by powiedzieć: „Dobrze, ja nie mogę twoich

argumentów z tych czy innych względów przyjąć”. Ewangelia jest wielkoduszna. Chrystus formował apostołów przez trzy lata, a potem postawił im pytanie: „Czy wy też chcecie odejść?” To nie jest tolerancja. To jest coś więcej. To jest głębokie poszanowanie drugiego człowieka. Do tego musimy dorastać, by formować innych.

I jeszcze jedna rzecz: stosunek Kościoła do Żydów. Tu chciałbym jako biblista powiedzieć o czymś, co mnie naprawdę bulwersuje: o upatrywaniu korzeni antysemityzmu w Biblii. Historycznie rzecz ujmując, jest to anachronizm nie do przyjęcia. Proszę zwrócić uwagę: jeżeli korzenie antysemityzmu tkwią w Biblii, to kto tworzył ten antysemityzm? Jakub, Piotr, Jan – wszyscy oni byli Żydami. To znaczy, że te początki tkwią w samym judaizmie. To, co się mówi bardzo często o antagonizmach Kościoła katolickiego – judaizm jest nieprawdziwe, bo to były napięcia w łonie samego judaizmu. Kościół się jeszcze nie wyłonił. Napięcia te brały się głównie stąd, że pierwsi chrześcijanie, których współcześni im Żydzi uznawali za sekciarzy, musieli zdecydować, czy droga do wspólnoty chrześcijańskiej ma prowadzić poprzez judaizm tradycyjny, jak w przypadku wszystkich apostołów, czy też można stać się chrześcijaninem bezpośrednio, to znaczy bez obrzezania i zachowywania wszystkich przepisów Prawa mojżeszowego. Właśnie na tym tle powstało to wielkie napięcie pomiędzy dwiema grupami chrześcijan, mianowicie: *ex gentibus*, czyli tymi, którzy wywodzili się z pogan i *ex circumcissione*, z obrzezania, czyli tymi, którzy urodzili się Żydami. To napięcie było procesem wewnętrznym, w łonie judaizmu, z którego później wyłonił się Kościół. Inna sprawa: ocenianie Biblii chrześcijańskiej w kontekście wyłącznie Biblii hebrajskiej. To jest naprawdę tragiczne nieporozumienie. Bo między Biblią chrześcijańską a hebrajską nie ma jakiegoś paralelizmu czy symetrii. Chrześcijanin może identyfikować się prawie ze wszystkim, co tworzy judaizm biblijny. Może też modlić się psalmami, które ukształtowały się w łonie judaizmu. Żyd nie może modlić się tekstami chrześcijańskimi,

które zawierają imię Jezusa Chrystusa. Więcej, Żyd nie będzie modlił się słowami tych samych psalmów, gdy chrześcijanin doda do nich na koniec słowa: „Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu”. Natomiast postulat, żeby Żydzi zmieniali Biblię chrześcijańską, a chrześcijanie „poprawiali” Biblię hebrajską, jest jakimś tragicznym nieporozumieniem.

R. Stemplowski: Dyskusja o stosunku Piusa XII – czy w ogóle Kościoła rzymskokatolickiego – do Żydów przynosi rozmaite owoce, ale w sumie przyczynia się do reorientacji Kościoła współczesnego i redukcji postaw irracjonalnych w społeczeństwie.

H.J. Zieliński: Dodam tutaj jeszcze tylko jedno. Czytałem artykuł w „Globe”, piśmie kanadyjskim, gdzie twierdzono, że święty Paweł to był największy antysemita. Zresztą tak się uważa bardzo często. A Alfred Rosenberg, dogmatyk rasis-towski, twierdził, że Paweł zażydził chrześcijaństwo. A więc mamy dwa absurdy.

R. Stemplowski: W jaki sposób definiowana jest teraz sprawiedliwość w doktrynie społecznej Kościoła? Obserwujemy wspaniały rozkwit badań nad problematyką sprawiedliwości na gruncie filozofii politycznej. Słabo widoczny w Polsce, ale istniejący na świecie. I chodzi o to, czy jest coś podobnego w środowisku teologów czy interpretatorów społecznej doktryny papieżstwa, czy egzegetów Biblii?

H.J. Muszyński: Sprawiedliwość w ujęciu biblijnym jest pojęciem religijnym *par excellence*. W jakimś sensie zazębia się ona ze sprawiedliwością w ujęciu filozoficznym czy politycznym, ale ja raczej bym to widział w ramach katolickiej nauki społecznej, która jest pochodną, pewną dedukcją z Biblii. Na pewno jest głęboka refleksja nad sprawiedliwością, nawet

w kontekście globalizacji. Jestem członkiem Rady Biskupów Wspólnoty Europejskiej, która opracowała, w moim przekonaniu, znakomity dokument na temat miejsca, nawet nie Kościoła, ale wartości etycznych w świecie globalnym. Raport przygotowany pod redakcją pana Michela Camdessus'a zatytułowany jest „Global Governance” i liczy sobie osiemdziesiąt stron. Jest to jedyny dokument, który uwzględnia wymiar sprawiedliwości w kontekście globalnym. A więc sprawiedliwość społeczna już nie tylko w wymiarze narodowym, europejskim, wspólnotowym, kościelnym, ale w kontekście wszystkich problemów, które przeżywa współczesny świat.

R. Stemplowski: Kiedy papież mówi: „sprawiedliwość”, to zasadniczo jaka jest treść tego pojęcia?

H.J. Muszyński: Myślę, że papież mówi o sprawiedliwości, w różnym znaczeniu. Kiedy czyta się dokumenty papieskie, łatwo zauważyć, że mówią one o sprawiedliwości najczęściej w kontekście problemów społecznych. Rzadko, takie jest moje odczucie, w sensie czysto biblijnym. Weźmy dla przykładu sformułowanie, że „Święty Józef był człowiekiem sprawiedliwym”. Oznacza to, że był człowiekiem świętym, doskonałym, pełniącym wolę Bożą w całej rozciągłości. Takie rozumienie terminu „sprawiedliwy” nie zawsze przystaje do naszych wyobrażeń.

R. Stemplowski: Roztropnym?

H.J. Muszyński: Nie, nie, doskonałym.

Z. Zieliński: Sprawiedliwym wobec Boga.

H.J. Muszyński: Sprawiedliwym wobec Boga, w odniesieniu do Boga. Papież najczęściej mówi o sprawiedliwości w kontekście społecznym, ale inspirowany jest rzeczywistością biblijną, objawioną dla nas. Bardzo mnie ujął wspomniany przeze mnie dokument, który podejmuje kwestie sprawiedliwości i niesprawiedliwości w niemal wszystkich dziedzinach życia współczesnego świata: gospodarczej, finansowej, ekonomicznej, a nawet monetarnej.

R. Stemplowski: Tak, bo to jest ta sprawiedliwość dystrybucyjna.

H.J. Muszyński: Dystrybucyjna, ale już rozpracowana w wymiarze globalnym. Dystrybucyjna w wymiarze globalnym.

D. Morawski: Kiedy ostatnio była mowa o wychowaniu do pokoju? O wychowaniu, o postawach ewangelicznych? To dotyczy inkulturacji wiary. We Włoszech, na przykład, bardzo się rozwinęła dyskusja na ten temat. Ja nie jestem specjalistą w tej materii, ale mam na myśli tę szkołę myślenia, która istnieje w Stolicy Apostolskiej, zwłaszcza w Sekretariacie Stanu i w wymiarze dyplomatycznym. Otóż właśnie o umiejętności różnienia się mówi papież, ten wątek poruszał parę razy. Umiejętność różnienia się – to znaczy umiejętność widzenia odmienności. A papież widzi nie tylko odmienności, widzi ludzi zagubionych, poszukujących. Chodzi mi o to, że papież bardzo zwracał uwagę na odmienności, które polegają także na tym, że są ludzie poszukujący jakiegoś nadprzyrodzonego sensu życia, którzy są zagubieni, i tak dalej.

Jeżeli natomiast chodzi o integrację europejską, to mnie się osobiście wydaje, że właściwie źródło konfliktów przechodzi coraz bardziej z wymiaru międzynarodowego na stosunki

wewnętrzne, wewnątrz kraju, danego kraju. I tutaj odgrywa rolę także ta prewencja, o której wspomniałem. W Stolicy Apostolskiej ogromną wagę przywiązuje się właśnie do prewencji, do przygotowania, do edukacji na rzecz pokoju, przygotowania do tej *arte di convivere*, sztuki współżycia i ulepszenia się, czyli właśnie do wymiaru kulturowego, obyczajowego, w Polsce niedocenianego. Trzeba jechać do Rzymu. Ja oddycham tam sztuką współżycia w stosunkach międzynarodowych. Mnie się wydaje, że my za dużo czasem teoretyzujemy.

W. Rojek: Chciałbym podzielić się refleksją na temat tego, o czym mówili zarówno ksiądz arcybiskup Muszyński, jak i ksiądz profesor Zieliński. Podzielam te oceny. Nie wiem jednak, czy w jakiejś mierze nie można by – zwłaszcza w naszych czasach – przeciwstawić idei tolerancji koncepcji dialogu. W odniesieniu do wcześniejszych okresów historycznych nie miałoby to oczywiście sensu, bowiem pojęcie tak rozumianego dialogu, jak ujęli to moi szanowni Przedmówcy, po prostu nie funkcjonowało, a tolerancja była niewątpliwie znaczącym osiągnięciem.

Po drugie, o czym częściowo była tu już mowa, tolerancja, tak jak ją rozumiał poprzedni system w Polsce, tak jak ją również pojmowała rewolucja francuska, nie jest już dzisiaj czymś znaczącym. Warto moim zdaniem przypomnieć w tym kontekście akt konfederacji warszawskiej uchwalony w styczniu 1573 roku na sejmie konwokacyjnym. Celem zawiązanej po śmierci ostatniego z Jagiellonów Zygmunta II Augusta konfederacji było zagwarantowanie bezpieczeństwa w okresie bezkrólestwa. W rzeczonym akcie gwarantowano bezwarunkowy i wieczysty pokój między ludźmi różniącymi się wyznawaną wiarą. Warto dodać, iż dotyczyło to nie tylko szlachty, lecz także mieszczan w miastach królewskich. Nadto, dając innowiercom równouprawnienie z katolikami, gwarantowała wszystkim opiekę państwa w tej materii, zapewniała różnowierczej szlachcie równy dostęp do godności

i urzędów. Objęła, co ciekawe, wszystkie ówczesne wyznania łącznie z postrzeganymi jako zdecydowanie kacerskie braćmi polskimi. W rezultacie mamy już wówczas do czynienia z czymś pośrednim pomiędzy tradycyjnie rozumianą tolerancją a, jak to ujął ksiądz arcybiskup Muszyński, poszanowaniem drugiego człowieka.

Oczywiście, nie przyznawała ona żadnych praw w sferze wyznania chłopom. Wobec nich w całej pełni obowiązywała nadal zasada *cuius regio eius religio*. Dostrzegł to Władysław Konopczyński, negując nieco jego zdaniem sofistyczne prawne wywody współczesnych, jakoby chodziło w tym wypadku jedynie o fizyczne władanie dobrami przez dziedzica. Jest przy tym rzeczą oczywistą, iż głównym motywem, który przyświecał twórcom tego aktu, były względy bieżącej polityki, a nie jakieś dalekosiężne założenia moralno-teologiczne. Sądzić wypada, iż zebrana szlachta żywo miała w pamięci noc świętego Bartłomieja. Dążono do pokoju, zwłaszcza w czasach bezkrólewia. Oceny współczesnych nie były, rzecz jasna, jednoznaczne. Z grona biskupów bez zastrzeżeń podpisał ją jedynie krakowski – Franciszek Krasiński, kujawski Stanisław Karnkowski wycofał się, a jednoznacznie od samego początku potępiał ją biskup warmiński Stanisław Hozjusz. Ostro występowali przeciw temu aktowi także niektórzy publicyści katoliccy, tacy jak Jan Solikowski, czy Stanisław Reszka, mówiąc wręcz, iż rozwiązywał on ręce szaleńcom. Niemniej jednak uznać wypada ów dokument za jeden z pierwszych liczących się kroków na drodze ku współczesnemu nam ekumenicznemu podejściu do kwestii wyznaniowej.

Z. Zieliński: Ale proszę zwrócić uwagę, jakie proporcje reprezentowały strony, które tam występowały. Więc oczywiście, jeśli protestantom powiedziano „jesteś robaczkiem dopuszczonym”, to oni byli bardzo zadowoleni, bo w Polsce to była mniejszość, ale proszę zwrócić uwagę na to, że w Polsce nikt nigdy nie miał nawet chęci toczenia wojny

religijnej, natomiast jeśli chodzi o wojnę trzydziestoletnią, to ona w ogóle nie była wojną religijną.

W. Rojek: No nie, nie oczywiście.

Z. Zieliński: Ona nie była wojną religijną. To była wojna o wpływy, zresztą od 1635 roku o wpływy Francji. To sobie powiedzmy szczerze. Dlatego chciałbym, jeśli wolno, wpaść w słowo i wrócić do tożsamości. Ponieważ dla mnie osobiście jest to bardzo ważne. Chodzi o to, że jeśli nawzajem ludzie czy instytucje toczące dialog nie uznają swoich tożsamości i wartości tam zawartych, to jest to nie dialog, tylko zawsze prze-radza się on w monolog. Jedna strona, ta, która przeważy, albo ma więcej argumentów, powiedzmy, lepiej osadzonych, na przykład ekonomicznych czy politycznych, zagłuszy tę drugą. Przecież Pius XII w obronie Żydów działał więcej niż ktokolwiek w tych czasach. Jedenaście tomów *Acts et Documents* o tym mówi, naliczono tam ponad pięćset wypowiedzi w ich obronie, nie mówiąc o tym, co czynił dla nich w Rzymie. Nie wiem, czy wolno mi ten żydowski temat rozwijać, ale to jest na korzyść papieża. Jest to najbardziej celna riposta dana wszystkim tym, którzy palą Piusa XII z powodu jego antyse-mityzmu, chociażby Johnowi Cornwellowi, który napisał potężną książkę *Papież Hitlera (Hitler's Pope)*. Ma ona, o ile wiem, ponad 1500 recenzji. Kiedyś w Internecie sprawdza-łem. Najlepszą apologię Piusa XII napisał jednak rabin Dalin. Zresztą, proszę państwa, to jest opublikowane w jezuickim piśmie „Przegląd Powszechny”. To jest najlepsza apologia. Nie siostry Marchione, nie Ronalda Rychlaka, prawnika amerykańskiego, ale właśnie rabina Dalina. Dlatego że on uchwycił istotę rzeczy. Ukazał, że papież miał pełną świa-domość, iż coś dobrego osiągnąć można nie mówieniem, ale konkretnymi czynami. Dlatego Rotcie, nuncjuszowi na Węgrzech, nakazał: Ratujcie za wszelką cenę! To były Węgry, które były zależne od Niemiec, ale jak by nie było – ich aliant.

Tam można było więcej zrobić dla Żydów. Sam papież, jeśli chodzi o Włochy, działał znacznie więcej, choć trwają spory, jeśli chodzi o egzekucję Żydów w Fosse Adreatineto. Ale w gruncie rzeczy to jednak papież sam uratował, jak dziś się twierdzi, około dziesięciu tysięcy. Podczas gdy zestawia się to złośliwie z ratowaniem Żydów w Danii, gdzie wywieziono Żydów do Szwecji, ale za każdego Żyda rybacy wzięli pięćset dolarów. A głosi się, że to była bezinteresowna pomoc w imię zasad humanitarnych. Są pewne mity, które funkcjonują w historii i które trudno jest wykorzenić. Tak jak błąd z podręcznika. Także tożsamość jest tu ważna. Żeby było wiadomo, kto z kim mówi, by wzajemnie uznawać swoje racje. Tymczasem liberałowie, kiedy w 1848 roku Pius IX powiedział wyraźnie, że nie będzie prezydentem Włoch i nie uderzy na Austrię, powiedzieli papieżowi: Nie – i do tego czasu nic się nie zmieniło. To przykład, jakie skutki rodzi lekceważenie tożsamości, bo czyż papież mógł wówczas toczyć wojnę z kimkolwiek?

S. Dębski: Chciałem zwrócić uwagę na jeszcze jeden wątek. Mianowicie, na współpracę papieża Jana Pawła II z państwami demokratycznymi. Współpracę, która przejawia się między innymi w niektórych przynajmniej jego pielgrzymkach. Za ich pomocą, za pomocą swoich wystąpień publicznych, za pomocą kazań, czy też przy okazji różnych spotkań, papież wspiera młode, niestabilne jeszcze, ruchy demokratyczne. Próbuje natchnąć ludzi nadzieją, natchnąć ich wiarą, że odbudowanie państwa po koszmarze wojennym, tak jak było na przykład w Sarajewie, jest możliwe, że przyszłość jest możliwa. Wizyta chociażby na Ukrainie, bardzo istotna z punktu widzenia całej Europy, gdyż zakorzenie nie się i sukces tej młodej ukraińskiej państwowości, a w przyszłości możliwa integracja z Unią Europejską, wykraczają poza cele Stolicy Apostolskiej. Trudno się spodziewać, żeby przynajmniej w niektórych państwach, do których papież pielgrzymuje, skutkiem takiej pielgrzymki był nagły przyrost

wiernych. Często skutkiem jest uwrażliwienie społeczności międzynarodowej na problemy, z jakimi to państwo się boryka. To jest pewien aspekt tej współpracy Stolicy Apostolskiej ze społecznością państw demokratycznych. Ona odbywa się też na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych, ale to już jest wątek, który należałoby odrębnie potraktować.

R. Stemplowski: Dokonałiśmy pierwszego przybliżenia. Daje to wyobrażenie o skali problematyki, o jej różnorodności, i skłania do kontynuowania tej dyskusji w przyszłości. Podejmiemy wówczas problematykę dyplomacji watykańskiej i stosunków między Polską a Stolicą Apostolską*.

Jeszcze raz bardzo serdecznie dziękuję za udział w dyskusji.

* Stolica Święta (Stolica Apostolska), czyli *Santa Sede* (*Sede Apostolica*), jako urząd papieski nierozłącznie związany z osobą papieża, czyli suwerena w Państwie Miasta Watykan (*Stato della Città del Vaticano*) jest podmiotem, z którym wiąże Rzeczpospolitą Polską konkordat. Podmiotem prawa międzynarodowego jest również państwo watykańskie (*Stato della Città del Vaticano*), lecz papież jest suwerenem i właśnie jako papież (*Sommo Pontifice*) Kościoła rzymskokatolickiego (Biskup Rzymu we wspólnocie z biskupami, jako ich przełożony – *cuale suo capo* – głowa Kolegium Biskupów, wg konstytucji *Lumen Gentium*, 1964) oraz władca Państwa Miasta Watykan, posiadający pełnię władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej, zawiera umowy międzynarodowe – por. art. 1 Legge Fondamentale dello Stato della Città del Vaticano [Ustawa Zasadnicza Państwa Miasta Watykan, w:] Supplemento, „Acta Apostolicae Sedes” 26 novembre de 2000 r.